

W numerze: TADEUSZ OLEJNIK *Gdy brzegi Warty krwią spłynęły* • Pięć lat Teatru Wielkiego • STANISŁAW KASZYŃSKI *Telefon* • ZDZISŁAW ŻYGULSKI *Listy Gabrieli Zapolskiej* • Zawsząd o wszystkim • Recenzje • Felietony • Nowela kryminalna

odgłosy



4 (740)
23. I. 1972 r.
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XV



Państwowy Teatr Nowy. „Idiota”. Izabella Pieńkowska i Andrzej May. Fot. A. Brustman

KAROL BADZIAK

KARDAS STORY

26 czerwca 1971 roku o dość późnej godzinie wieczornej ujawnił się w Piotrkowie chyba brzo groźny awanturnik, jeśli za ten sam incydent spowodowany w szpitalu najpierw miejscowe kolegium wymierzyło mu grzywnę w wysokości 2.000 zł („za zakłócenie spokoju publicznego w stanie nietrzeźwym”), a w kilka miesięcy

później Sąd Powiatowy skazał go na pół roku więzienia, z zawieszaniem na dwa lata, („za czynną napaść w czasie wykonywania obowiązków służbowych”). Była to napaść na lekarza pełniącego dyżur w szpitalu.

Jak widać prawo w Piotrkowie Trybunalskim jest surowe. Jeśli chodzi o ten konkretny czyn, mam

niejakie obiekcje, czy jest równie sprawiedliwe. Postaram się przedstawić znane mi fakty, a Czytelnicy niech sami osądzą postępek Jana Kardasa, bo tak brzmi pełne nazwisko naszego bohatera. Ma on 26 lat, jest żonaty, dotychczas nie karany, pracuje w spółdzielni „Telsin”. Opinia w pracy dobra, udziela się społecznie w branży sportowej. Prokurator na rozprawie, jako okoliczność obciążającą go, podał m. in. fakt, że zmobilizował on w swej obronie prasę. Jeśli za mobilizację prasy uznać należy list do redakcji, to jest to prawda.

Sprawa według mnie jest o tyle interesująca, że wkracza w delikatną sferę etyki i moralności. Jan Kardas jest głęboko przekonany, że postąpił dobrze, ba, nawet szlachetnie i uważa, że zamiast kary, powinna spotkać go nagroda, może pochwała, lub co najmniej podziękowanie.

Otóż do tej pory istniał w naszym kraju zwyczaj, jakaś nie pisana umowa, że jak człowiek spotkał na szosie drugiego człowieka,

w dodatku rannego, reagował (od ruchowo) w ten sposób — zatrzymał pierwszy lepszy samochód i wioził go do szpitala. Tam wyszkolona specjalnie w tym celu służba medyczna natychmiast przychodziła rannemu z pomocą. Nie pytano go nawet, jak się nazywa, gdzie mieszka, i pracuje, lecz po prostu i zwyczajnie udzielano pierwszej pomocy, odkładając na później czynności administracyjne, skądinąd bardzo ważne, ale może nie tyle, co ludzkie życie.

Sprawa, którą mam tu zaszczyt referować jest pod tym względem dość precedensowa. Może ten naturalny, samarytański, czy też humanitarny odruch, jest w świetle najnowszych zdobyczy medycyny i techniki już przestarzały? Może należy w takim przypadku zostawić konającego człowieka na szosie i udać się do najbliższego telefonu, aby zadzwonić po pogotowie ratunkowe, które fachowo przetransportuje pacjenta do szpitala. Nie piszę tego z przekąsem, to jest poważny problem, szczególnie, jeśli idzie o uszkodzenia głowy. Inna

sprawa, że oczekiwanie na pogotowie może znacznie opóźnić pomoc. Może się i tak zdarzyć, że pogotowie w ogóle przyjedzie za późno. Zawsze mamy do czynienia z pewnym ryzykiem i trzeba dokonywać wyboru: albo niefachowo transportować natychmiast, albo fachowo, lecz z opóźnieniem.

Słyszałem, że w Stanach Zjednoczonych kierowcy obojętnie mijają i wymijają rannych w wypadku na szosie, albowiem wychodzą z założenia, że udzielanie pomocy jest powinnością specjalistów. Być może, że w przyszłości i my dojdziemy do stanu takiej atrofii, iż będziemy uznawać nie tylko społeczny podział pracy, lecz także przestrzegać z żelazną konsekwencją społecznego podziału pomocy. Niestety, na razie jednak dominują w naszym społeczeństwie przestarzałe, XIX-wieczne ludzkie odruchy. Właśnie Jan Kardas stał się ich ewidentną ofiarą.

Dalszy ciąg na str. 3

Dwugłos o Szkole Filmowej

JERZY URBANKIEWICZ

W dyskusjach na tematy kulturalne stosuje się nierzadko kamuflaż polegający na tym, że pomija się milczeniem problemy istotne, a szermuje jedynym, zgola nie pierwszorzędnym argumentem, udrapowanym za to w kształt sztandaru. Znam więc jeden z ośrodków telewizyjnych, który przez długie lata kładł swoje niepowodzenia na karb braku wozu transmisyjnego; (wóz przyszedł — nic się nie zmieniło). Podobnie w filmie polskim: przy okazji wszelkich większych i mniejszych kryzysów, parę dziesiątków palców wskazujących zwraca się ku Łodzi, gdzie od lat 23 kształcą filmowców Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa, Telewizyjna i Teatralna im. Leona Schillera (zwana w dalszym ciągu Szkołą Filmową; zastrzeżenie to jest o tyle ważne, że studenci Szkoły obrażają się, jeżeli w tej 10-wyrazowej nazwie coś zostanie pomyłone lub przedstawione).

Co jakiś czas więc rozlega się w warszawskim środowisku filmowym głośnie: „Sza!”, miłkną spory na tematy istotne, a zaczynają się działania nekające na temat przeniesienia Szkoły Filmowej do stolicy. Ostatnio sprawa ta wypłynęła w końcu ub. roku przy okazji dyskusji w Sejmowej Komisji Kultury. Powzięto więc rozsądną decyzję, by Podkomisja do Spraw Kinematografii zbadała sprawę na miejscu, wydała opinię, i aby na podstawie tej opinii powzięta została oficjalna decyzja o przeniesieniu szkoły do Warszawy, lub pozostawieniu jej w Łodzi. Sprawa jest ważna co najmniej z dwóch punktów widzenia: aby dskusja nad kształtem kinematografii poszła we właściwym kierunku, oraz aby zmienić atmosferę oczekiwania na ewentualne zmiany, jaka zdecydowanie przeszkadza studiom.

Na początku dyskusji padło zasadnicze pytanie: czy zwolennicy przeniesienia szkoły do stolicy wysuwają pod jej adresem jakiegoś zarzuty i jeżeli tak, to jakie. Oczy-

Dalszy ciąg na str. 4



Polska, jak również kilka innych krajów, uznala Bangla Desz. Jest to konsekwencją jednoznacznego opowiadania się przez nas za politycznym uregulowaniem problemów na subkontynencie indyjskim.

Kiedy w grudniu 1970 roku Liga Awami uzyskala w wyborach połowę mandatów w centralnym parlamencie pakistańskim i niemal wszystkie w Pakistanie Wschodnim — już wtedy stało się jasne, że pogodzenie interesów obu części tego państwa może nastąpić tylko na drodze rozwiązań politycznych, zgodnych z wolań narodu wschodnioindyjskiego. Stało się jednak inaczej. Odpowiedzią na wynik wyborów było podjęcie przez ówczesnego prezydenta Pakistanu — Khana ostrych działań represyjnych. Uwwięziono został przywódcę Ligi Awami — Khanan, do indii uciekło przed terrorem ok. 10 mln osób. Wreszcie Pakistan, wciąż podsycający stan napięcia z Indiami, wypowiedział wojnę, która trwała ponad 2 tygodnie. Przyniosła ona wyzwolenie Bangla Desz. Nowy prezydent Pakistanu — Bhutto podał niezwykle krytycznej ocenie rządu swego poprzednika, przyznając, iż popełniono karalny błąd wobec Pakistanu Wschodniego. Zwolnił też Rahmana z więzienia, który powrócił do swojego kraju. Powstanie samodzielnego państwa Bangla Desz stało się faktem. Ludowa Republika ma własny parlament i rząd, liczy ok. 70 mln ludności.

W tej sytuacji wiele krajów, a w tej liczbie także Polska, uznaly nowe państwo. Niestety, Pakistan zareagował na ten naturalny krok nieprzyjaźnie, oświadczając, że zrywa stosunki dyplomatyczne z naszym krajem. Decyzja ta wszystkimi konsekwencjami z niej płynącymi obciąża stronę pakistańską. Polska dawała wielokrotnie dowody utrzymywania dobrych stosunków z Pakistanem i rozwijania trwającej dotąd współpracy gospodarczej. Gotowi to jesteśmy czynić nadal, jeśli Pakistan zrewiduje swoją decyzję.

Powstanie państwa Bangla Desz jest wydarzeniem, które może zmienić układ sił na subkontynencie indyjskim. Nowe państwo będzie z pewnością ściśle współpracowało z neutralnymi Indiami. Oslabia to pozycję Pakistanu, który jest członkiem SEATO. Wprawdzie w Islamabadzie uważa się, że fakt ten nie powinien wpłynąć na miejsce Pakistanu w tym pakcie, jednak nie jest to zupełnie pewne. Tymczasem w stolicy Pakistanu nasila się krytyka innego z paktów — CENTO. Ocenia się, że nie spełnił on swej roli, czego przykładem jeden z członków — W. Brytania, która w konflikcie indyjsko-pakistańskim przyjazne gesty kierowała pod adresem Delhi.

Warto zwrócić uwagę na jeszcze jeden moment: zapowiedzianą podróż prezydenta Bhutto do Pekinu. Ulega ona pewnej zwolnocy, ale przygotowywana jest bardzo starannie. Jak wiadomo, stosunki pakistańsko-chińskie są bardzo dobre i w wyniku pekińskich rozmów mogą być jeszcze rozszerzone.

Zdaniem komentatorów zagranicznych, Islamabad zabiegać będzie również o poprawę stosunków ze Związkiem Radzieckim.

Kalendarz ub. tygodnia, poza uznaniem Bangla Desz, notuje dwie ważne wizyty: ministra Spraw Zagranicznych — Stefana Olszowskiego w Moskwie oraz delegacji rządowej z wicepremierem Janem Mitregą w Indiach. Pierwsza miała na celu wymianę poglądów w związku z przygotowywanym posiedzeniem Doradczego Komitetu Politycznego Państw — Stron Układu Warszawskiego i odnotowywana była bardzo uważnie w codziennej prasie polskiej i radzieckiej, druga — poza aspektem politycznym — miała także aspekt gospodarczy. W celu zintensyfikowania kontaktów w dziedzinie wspólnej inwestycji, kooperacji przemysłowej i wymiany doświadczeń naukowo-technicznych powołano do życia stałą specjalistyczną komisję polsko-indyjską.

Miniony tydzień przyniósł ponadto zapowiedź wznowienia 29 lutego genezkiej konferencji rozbrojeniowej.

Przypomnijmy Czytelnikom, że do 1969 r., dziś noszący oficjalną nazwę: Konferencji Komitetu Rozbrojeniowego organ ten pracował jako Komitet Rozbrojeniowy 18 państw. Przed z górą dwoma laty skład jego został znacznie rozszerzony — do 26 uczestników. Obecnie Konferencja Komitetu Rozbrojeniowego składa się z 7 państw obozu socjalistycznego i tyluż obozu zachodniego oraz 12 państw niezaangażowanych. Faktycznie konferencja ta jest organem przygotowującym propozycje rozwiązań przez ONZ problemów rozbrojeniowych.

Z pewnością pierwszym tematem, dyskutowanym po wznowieniu obrad, będzie zaproszenie Chińskiej Republiki Ludowej do udziału w konferencji. Dotychczas Pekin wypowiedział o niej negatywną opinię. Niedługo temu atakowano porozumienia w sprawie kontroli zbrojeń i w związku z tym celowość istnienia komisji. W dalszym ciągu w Chinach prowadzi się eksperymenty nuklearne w atmosferze, czego kolejnym potwierdzeniem jest niedawna próba eksplozja. Czy więc ChRL będzie wzięła udział w pracach tego organu ONZ? Pytanie to często powtarza się w komentarzach. Rzecznik Departamentu Stanu wyraził przekonanie, że ChRL mile byłoby widziane przez uczestników konferencji i że zajmowane przez nie stanowisko w przeszłości z pewnością teraz ulegnie zmianie. Na podstawie tej i innych wypowiedzi uważa się niemal za pewne, że konferencja uchwali rezolucję, zapraszającą ChRL do jej prac.

Jednym z głównych punktów porządku dziennego konferencji będzie, jak się sądzi, zakaz podziemnych doświadczeń nuklearnych.

W. ŚLAWSKI

Sprawą na dziś dla całej łódzkiej organizacji partyjnej najważniejszą jest konkretyzacja w każdej instancji i organizacji partyjnej zadań wynikających z Uchwały VI Zjazdu, wytworzenia atmosfery twórczego działania i systematyczna, rzetelna analiza osiągniętych efektów. Czy zrobiliśmy wszystko na co nas stać i czego wymaga od każdego z nas aktualna sytuacja polityczna i gospodarcza miasta? — to pytanie musi nam towarzyszyć w codziennym działaniu.

(Z WYSTĄPIENIA I SEKRETARZA KL PZPR, BOLESŁAWA KOPERSKIEGO, NA PLENUM KOMITETU ŁÓDZKIEGO PZPR)

Zewsząd o wszystkim

Kosmos: człowiek czy automat?

„NEW YORK TIMES MAGAZIN” — NOWY JORK

Coraz więcej uczonych, zaangażowanych w badania kosmiczne, oddaje dziś pierwszeństwo automatom. Teraz można już konstruować zdalnie sterowane aparaty zdolne do wykonywania niemal wszystkich eksperymentów i badań naukowych. Z powodzeniem zdają egzamin przyrządy, fotografujące Ziemię z Kosmosu, jak również wykonujące inne prace badawcze poza powierzchnią naszej planety. Satelity telekomunikacyjne są coraz bardziej doskonałe. Przejrzały, umieszczone na satelitach meteorologicznych prowadzą dokładne badania stanów atmosferycznych w skali globalnej.

W zakresie badań czysto naukowych, loty radzieckich i amerykańskich stacji automatycznych na Marsa i Wenus pozwoliły na zebranie wielu cennych obserwacji systemu słonecznego. Podobne loty planuje się także na inne planety. Ogromne wrażenie wywarły na umysłach całego świata sukcesy Rosjan w zakresie badań naukowych Księżyca, Wenus i Marsa.

Człowiek zdolny jest do obserwacji, szybkiej oceny sytuacji oraz podejmowania i wykonywania uzasadnionych decyzji. Czy automatyczne urządzenia osiągną kiedykolwiek podobną uniwersalność? Czy zdołają szybko reagować na zachodzące wokół nich zjawiska? Urzeczywistnienie projektów nowych, współczesnych mechanizmów zdalnie sterowanych pozwoli na udzielenie odpowiedzi na te interesujące pytania.

Nie będą to automaty, pracujące zgodnie z uprzednio opracowanym programem, lecz urządzenia, pozwalające operatorom na Ziemi, za pośrednictwem telewizyjnych „oczu”, obserwować na odległość wszystko to, co widziałby człowiek i mógłby wykonać przy pomocy zdalnie sterowanych przyrządów. W ten sposób „proces myślowy” przebiegałby na punkcie kontrolnym, sterującym, a „oczy” i „rece” — urządzenia mechaniczne — znajdowałyby się w miejscu pracy, z dala od operatora. System ten nazwano Telefaktorem.

Wysokoczuła kamera telewizyjna może być „przywiązana” do operatora przy pomocy sygnałów radiowych w ten sposób, aby telewizyjne „oko” powtarzało ruchy głowy operatora. Operator będzie widział wszystko, co widzi kamera, a odwracając głowę zobaczy, jak w ślad za tym zmienia się obraz na ekranie telewizyjnym. Do rąk operatora przycumuje się cała sieć dźwigni i przewodów, dzięki którym ruchy jego rąk będą powtarzały na odległość mechaniczne „rece”. Telefaktor będzie moż-

na umieszczać na samobieżnym pojeździe.

Podobny system będzie mógł wziąć na siebie ogromną część operacji, które obecnie — jak wielu ludzi sądzi — może wykonać tylko człowiek. Automat zdalnie sterowany będzie mógł prowadzić samolot, samochód, a — być może — będzie też pracował w kopalniach, tak niebezpiecznych dla człowieka, czy też na dnie oceanów, w warunkach gigantycznych ciśnień. W Kosmosie, na Księżycu, czy też na jakiejś innej planecie, człowiekowi będzie przeszkadzała ciężka kosmiczna skafander, jego możliwości są ograniczone mnożstwem specyficznych warunków, takich, jak powiedzmy czas pracy systemów utrzymujących człowieka przy życiu, zmęczenie itp., itd. Wszędzie to ograniczenia odpadną przy posługiwaniu się Telefaktorem.

Nie wykluczone oczywiście, iż kamera telewizyjna nie zastąpi w pełni ludzkiego oczu. Być może operacje mechanicznych „rak” nie będą aż tak precyzyjne, jak praca rąk ludzkich. Z drugiej strony Telefaktor będzie miał znacznie więcej czasu na wykonanie zadań i już tylko to samo skłania uczonych do oddania mu pierwszeństwa. Wprawdzie, gdy Telefaktor znajdzie się bardzo daleko od orbity okołozemskiej, na przykład na Księżycu, lub na jakiejś innej planecie, ujawni się pewien szkopuł: nastąpi pauza pomiędzy rozkazem a jego wykonaniem, pomiędzy działaniem a telewizyjnym przekazem obrazu tego działania, ponieważ niezbędna jest tu określona ilość czasu, by fale radiowe dotarły na planetę i powróciły na Ziemię. W przypadku Księżyca pauza ta wynosi nie więcej, niż dwie i pół sekundy, ale dla Marsa — już minuty.

Najlepszym wariantem byłoby chyba skonstruowanie samobieżnego aparatu z telewizyjnymi „oczami” i jedną lub kilkoma „telefaktorem rękami”. Wielkim krokiem naprzód na tej drodze okazało się stworzenie radzieckiego „Lunochoda”. Takie właśnie zdalnie sterowane urządzenia mają przed sobą wielką przyszłość. Samobieżny aparat jest zdolny do spenetrowania o wiele większej przestrzeni powierzchni księżycowej, niż człowiek i może pokazać obserwatorom na Ziemi dużo szersze rejony. Mechaniczne „rece” mogą pobrać próbki skał, unieść je przed telewizyjne „oczy”, dokładnie obejrzeć i, jeśli zajdzie potrzeba, napełnić nimi specjalny pojemnik. Następnie aparat unosi się „na spotkanie” z innym urządzeniem, zebranym w silniki umożliwiające mu

powrót na Ziemię, któremu też przekazuje zawartość pojemnika. Automatyczne aparaty pozwolą, praktycznie rzecz biorąc, na zbadać nie wszystkie zakątki Księżyca, podczas gdy możliwości kosmonautów są mocno ograniczone zarówno wyborem miejsca nie zawsze odpowiedniego do lądowania, jak i ze względu na odległość, na którą mogą się oddalić od statku kosmicz-

nego. To skojarzenie formy Telefaktora z walorem dostarczenia na Ziemię próbek, pozwoli na o wiele szerszy zakres badań na Marsie i na innych planetach. Większość amerykańskich uczonych, uczestniczących w realizacji programów kosmicznych, uważa dziś, że jest to najlepsza droga wiodąca do efektywnych badań kosmicznych.

Niespełnione nadzieje embargo

„CHRISTIAN SCIENCE MONITOR” — BOSTON

Teraz już nie musisz zniżać głosu, kiedy opowiadasz się za handlem ze Związkiem Radzieckim... Minister handlu USA powrócił z Moskwy z sensacyjną informacją o perspektywach handlu między obu krajami. „Słyszysz się tu i ówdzie, że embargo na eksport amerykańskich towarów będzie albo bardziej liberalne, albo nawet zostanie w ogóle zniesione. Za rok lub dwa ci, którzy głosili, iż handel ze Związkiem Radzieckim jest nie do pomyślenia, z pewnością zapomną już, że o tym kiedykolwiek mówili.

Kompanie handlowe w krajach zachodnich, będących naszymi sojusznikami, odniosły największe korzyści przede wszystkim dzięki rozszerzeniu handlu z Rosją. W 1967 roku amerykański eksport do krajów komunistycznych wynosił ogółem plus minus, jeden procent naszego całego eksportu. Eksport do ZSRR wynosił w przybliżeniu 1/7 eksportu Niemiec zachodnich.

Sumując te dane należy podkreślić, że na przestrzeni lat 1947—1967 kraje zachodniej Europy, razem wzięte, zwiększyły swój eksport do Rosji i do innych krajów wschodniej Europy z 40 milionów dolarów do 3300 milionów dolarów.

Amerykański minister finansów John Connolly uskarża się na trudności, które przeżywa Stany Zjednoczone w konsekwencji taryf i innych ograniczeń, wprowadzonych przez ich handlowych partnerów. Jednakże jednym z ograniczeń handlowych, które spowodowało duże straty Stanów Zjednoczonych, była ich własna niechęć do wymiany handlowej z krajami komunistycznymi. Jej teoretyczna przesłanka prowadziła się do tego, że embargo zagroziło komunistom drogę do przodującej techniki Zachodu.

„Hipoteza ta okazała się z gruntu fałszywą” — twierdzi Richard Barber w swojej książce „Korporacja amerykańska”. Dalej pisze on: „Polityka embargo okazała się rzeczwiście o tyle skuteczna, że pozbawiła amerykańskie firmy okazji

do sprzedawania towarów, które sprzedają kraje zachodnioeuropejskie”.

Co gorsza — kontynuuje Barber — taka polityka w praktyce jest też niekiedy, lubliwna. Rzecz w tym, że wielkie korporacje amerykańskie są w istocie organami międzynarodowymi. „General Motors” jest w zasadzie „instytucją” polityczną. Korporacja ta ma fabryki w większości stanów USA oraz w 24 państwach zagranicznych. Ale „General Motors” — to tylko jeden przykład. Stę wielkich amerykańskich przedsiębiorców kieruje dziś ponad połowa wszystkich wkładów, zaangażowanych w przemysle przetwórczym w samych USA.

Barber pisze, że kompania „International Business Machines” nie sprzedaje krajom komunistycznym, bezpośrednio z USA, maszyn do opracowywania przeróżnych danych. Ale za to jej filie za granicą sprzedają Wschodniej Europie ogromne ilości takich urządzeń. Tak więc amerykańskie robotników pozbawia się pracy, a amerykańskie ministerstwo finansów — dużych dochodów.

Kompania „Caterpillar Tractor” ma przedsiębiorstwo w Grenoble, we Francji. Kraje komunistyczne otrzymują dostawy z Grenoble, a nie z fabryki tej kompanii w stanie Illinois. Kompania „Honeywell” sprzedaje wschodniej Europie urządzenia, produkowane w jej fabrykach w zachodnich Niemczech itp., itd.

Co się leniej opłaca: czy dostarczać amerykańska do dokumentację techniczną z fabryki w zachodniej Europie, czy z fabryki w Chicago? Obecnie, jak widać, robi się już kroki, by zmienić ten tradycyjny pogląd i uznać wreszcie, że to drugie jest lepsze.

Istnieje jeszcze jeden aspekt tej sprawy: czy służą pokojowi na całym świecie próby izolowania Rosji? Amerykańska ideologia szła ta sama drogą, co i amerykański handel. Obecnie wygoda na to, że Waszyngton wprowadzi amerykańskie firmy na rynek, rozszerzający się najszybciej w świecie.

Miasta — upiory

„PROGRESIVE — MADISON” — MADISON

Mówiono o tym już od dawna, ale dziś stało się to oczywiste: wielkie amerykańskie miasta rzeczywicie umierają. W Nowym Jorku, Chicago, Filadelfii — właściciele domów porzucili tysiące swych nieruchomości. Proces ten nasilił się tak dalece, że zaistniało niebezpieczeństwo przekształcenia się starych centrów miejskich w „miasta-upiory”.

Czy uda się zachować „cywilizację miejską”? Widok opustoszałych, porzuconych, zabitych deskami lub spalonych domów w zachodniej części Nowego Jorku, w getcie w Cleveland czy Filadelfii, każe o tym wpaść.

Po szczegółowej analizie wszystkich danych o sytuacji w ubogich dzielnicach miast, wielu ekspertów dochodzi do wniosku, że biednym żyje się dziś jeszcze gorzej niż 10 lat temu. Właściciele porzucają stare domy, ponieważ czynsz za

mieszkania już nie pokrywa wydatków na utrzymanie ich w stanie używalności, opłat hipotecznych i podatków.

Proces ostatecznej degradacji dzielnic nędzy rozprzestrzenia się jak epidemia i przebiega według własnych praw. Toczy się jak ogromna fala, z najstraszniejszych dzielnic biedoty i zalewa inne dzielnice, jedna po drugiej. „Dzielnice nędzy rozrastają się, ropieją, wdzierają się tylnymi drzwiami, przesakują przez ulice” — tak to określa Edward Loor, prezydent korporacji rozwoju miejskiego stanu Nowy Jork. Nigdzie ucieczka właścicieli domów nie odbywa się w takich rozmiarach, a życie codzienne nie ulega atonii tak szybko, jak w sercu dzielnic nędzy, w rejonach, które władze miejskie nazywają „gettem w stanie kryzysu”.

Długos o Szkole Filmowej

Dalszy ciąg ze str. 1

wście pytanie takie można zaliczyć do kategorii tzw. podchwytliwych, bowiem z wolennicy przeniesienia sami ukończyli tę szkołę, nierzadko zdobyli pozycję w filmie polskim, jakże więc mówić, że szkoła jest zła.

Jeżeli przejrzeć na przykład listę absolwentów Wydziału Reżyserskiego, to okaże się, że w ciągu 23 lat było ich 185, spośród nich 64 pracuje w zespołach filmowych, 21 jako pracownicy programowi telewizyjni, 26 w Wytwórni Filmów Dokumentalnych, 17 w Wytwórni Filmów Oświatowych, kilkanaście osób w mniejszych wytwórniach, w Telear Ltd., słowem 161 osób pracuje w zawodzie, wśród nich zaś są takie nazwiska jak na przykład Kutza, Has, Wajda, Zanussi, Skolimowski. Nikt więc nie twierdzi, że szkoła jest zła, natomiast Sejmowa Komisja Kultury poinformowała, że konieczność dojazdu pedagogów i studentów z Warszawy do Łodzi jest groźną dla integracji filmowego środowiska artystycznego.

Na sprawę tę można spojrzeć z dwóch punktów widzenia: statystycznego i komunikacyjnego.

Statystycznie rzecz biorąc, na 50 pracowników naukowo-dydaktycznych szkoły 18 jest z Warszawy, a więc 1/3; z 77 zaś pracowników nietatowych lecz stale współpracujących ze szkołą tylko 8 dojeżdża z Warszawy. Wśród studentów Wydz. Reżyserskiego 4 jest ze stolicy, 6 z innych miejscowości; na Wydz. Operatorskim

mieszkańców Warszawy jest 5, Łodzi — 6, a 11 z innych ośrodków; w Studium Organizacji Produkcji: z Warszawy — 2, z Łodzi — 3, z innych miejscowości — 7. Jak więc widać, nie jest to uczelnia ani warszawska, ani łódzka, ale jedyna w Polsce uczelnia ogólnokrajowa.

Argument komunikacyjny, to argument groteskowy. Specjaliści od problemów komunikacyjnych twierdzą, że Łódź leży „na przedmieściu Warszawy”, w związku z czym to 760-tysięczne miasto nie ma lotniska i komunikacji lotniczej i nie nie wskazuje na to, by w najbliższym czasie sytuacja ta uległa zmianie. Pogląd pracowników filmu mieszkających w Warszawie o trudnościach komunikacyjnych pozostaje więc w sprzeczności z poglądem rzeczników Ministerstwa Komunikacji i LOT. Podróż ze stolicy do Łodzi trwa pociągiem około 2 godzin, samochodem ok. półtorej godziny. Wyobraź sobie, że angielski reżyser mieszkający w obrębie wielkiego Londynu, gdzieś koło Cockfosters, High Barnet, czy Woodford traci na dojazd do wytwórni w Ealing tyle samo czasu metrem. Bo samochodem jeszcze więcej. Aby argument komunikacyjny uznać za nieistotny, dodajmy, że filmmowcy stoleczni tak czy owak przyjeżdżają do Łodzi, gdyż mają tu jedną Wytwornię z prawdziwego zdarzenia i dlatego w budynku biurowym przy ul. Łąkowej każdy z zespołów Państwowego Przedsiębiorstwa „Zespoły Filmowe” ma swój pokój lub dwa z maszyną do pisania i sekretarką.

JERZY WILMAŃSKI

Przewalilo się nad łódzka Szkoła Filmowa polemik i dyskusji tyle, że można by nimi obdzielić parę innych instytucji. Uczestnicze w tych sporach od lat, reprezentując pogląd, że miejsce uczenia jest tu, gdzie się narodziła — w Łodzi. tu, gdzie historia polskiego filmu notuje jej najlepsze lata.

Z satysfakcją więc powitałem decyzję Sejmowej Komisji Kultury, która ostatecznie potwierdza fakt pozostawienia szkoły w Łodzi i przekreśla nadzieje na przeniesienie uczelni do Warszawy. Sprawa więc została definitywnie zakończona.

Aliści w ostatnim „Życiu Literackim” Barbara Seidler rozpoczyna zabawę od początku. Jak gdyby nie było wieloletnich sporów, jak gdyby nie było decyzji w tej sprawie — krakowska publicystka wola, że spór trzeba rozstrzygnąć.

Pisze zatem Barbara Seidler:

„Zwolennicy przeniesienia szkoły do Warszawy wskazują na konkretne, realne możliwości dokonania tego kroku: telewizja wyprowadza się z budynku przy placu Powstańców, są tam studia, laboratoria, sale montażu i synchronizacji; wszystkie urządzenia tkwiące w ścianach — miliony warte — mogłyby z powodzeniem służyć szkole filmowej. Zwolennicy przeniesienia szkoły do Warszawy twierdzą, że istniejąca w Łodzi baza produkcyjna szkoły przekazać można Wytwórni Filmów Oświatowych, bądź „Semaforowi”, a personel techniczno-administracyjny szkoły mógłby być z powodzeniem zatrudniony w tych wytwórniach. Zwolennicy tej koncepcji wskazują na to, iż szkoła powinna znajdować się w centrum artystycznym, aby studenci mogli szerzej korzystać z uczestnictwa w konsumpcji rzeczy najnowszych, najciekawszych, które w stolicy się rozgrywają, bądź do stolicy są sprowadzane i zapraszane. Wskazuje się także na łatwość odbywania praktyki w dużym ośrodku telewizyjnym, jakim jest Warszawa, wreszcie mówi się o tym, że można by przedzej zainteresować wybitnych twórców wykładami w szkole, do których nie zawsze można ich nakłonić z powodu odległości szkoły od ich miejsca zamieszkania.”

Z drugiej jednak strony oddaje sprawiedliwość Łodzi i przytacza łódzkie argumenty:

„Miasto zrobiło wszystko, aby stworzyć szkole jak najlepsze warunki egzystencji. Systematycznie rozbudowywano budynek i produkcyjne zaplecze, Łódź cieszyła się swoimi studentami-artystami i tym, że szkoła zyskała sobie markę jednej z najlepszych w świecie. Mówiło się przecież: Łódzka Szkoła Filmowa. To nobilitowało miasto, dodawało mu splendoru, powodów do dumy. A potem — w miarę upływu czasu, gdy Warszawa odbudowana już zaczęła ścierać twórców — Łódź broniała się, jak mogła. Najczęściej była to obrona nadaremna i robotnicze miasto ustępowało. Nie mogło siłą zatrzymać pisarzy i aktorów, reżyserów, dyrektorów teatru. Ale została przeciwnie w Łodzi Wytwórnia Filmów Fabularnych, została szkoła filmowa. Szkoła jest z wytwórnią związana. Zwolennicy pozostawienia jej w Łodzi mówią: „Niemal wszyscy twórcy filmowi i tak tu przyjeżdżają do hal zdjęciowych, mogą te wyjazdy łączyć z wykładami, szkoła ściśle współpracuje z wytwórnią — to też się liczy. A zresztą odległość od stolicy jest nieduża, pociągami elektrycznymi jedzie się półtorej godziny. I czy tak naprawdę wszystko musimy oddawać Warszawie? A tu, na prowincji ma zostać pustynia?” Tak mówią łodzianie i część personelu pedagogicznego szkoły, a także część studentów.

Jedna i druga strona mają swoje racje. Argumenty za przeniesieniem szkoły do Warszawy są poważne, ale i te za pozostawieniem jej w Łodzi — są ważne.

Na pewno zaś wiadomo: spór ten trzeba rozstrzygnąć.”

W tym obiektywnym zaprezentowaniu racji obu stron zabrakło jednak rzeczy najistotniejszej. Zabrakło informacji, że spór został już rozstrzygnięty. Rozpoczynanie całej sprawy od początku służy tylko zaciemnieniu problemów dla szkoły najważniejszych. Bowiem dziś — po decyzjach Sejmowej Komisji Kultury — zamiast znów kreć niepotrzebna karuzele sporu o lokalizację, trzeba pomyśleć o najważniejszym. O poziomie i atmosferze szkoły.

Kiedyś, po jednym z moich artykułów broniących prawa Łodzi do filmowej uczelni usłyszałem opinię wybitnego reżysera młodego

Właśnie, ta Wytwórnia Filmów Fabularnych! Tu tkwi generalny argument przeciwko przenieszeniu Szkoły Filmowej i innych instytucji filmowych do stolicy.

Nie miejsce tu na sruce historii powojennego filmu polskiego. Nie miejsce na wyjaśnianie, dlaczego „Czołówka Filmowa” Wojska Polskiego wyszła z Sielec nad Oka i swoje „karabiny i rusznice” zawiesiła w cieniu łódzkich kominów. Ale to się wtedy zaczęło i konsekwencją owych wydarzeń z 1945 roku jest fakt, że w tym mieście, znanym przed wojną raczej z kilku afer filmowych, powstały i działają: największa w kraju (niemal w skali europejskiej) Wytwórnia Filmów Fabularnych, mająca piękną historię Wytwórnia Filmów Oświatowych, „Semafor” — Wytwórnia Filmów Animowanych i Eksperymentalnych, dubbing, Zakłady Kinotechniczne i wiele innych.

Większość tych instytucji korzysta z nader kosztownych urządzeń, którymi dysponuje WFF. Tu jest jedyne w Polsce laboratorium obróbki taśmy ORWO-Color, tu jest jedyne w skali kraju kosztującej grube miliony budynek dźwięku i inne, rzadkie urządzenia. Ze wszystkich korzysta Szkoła Filmowa (nawiasem mówiąc — z 30-procentową bonifikata) i trudno sobie wyobrazić, by studenci mogli się obejść bez podobnego zaplecza w zasięgu dojazdu tramwajem. Szkoła Filmowa produkuje rocznie odpowiednik 6-7 filmów fabularnych, obrabia w 2 łódzkich laboratoriach około 100 tys. metrów taśmy. Czyżbyśmy to wszystko mieli wzić później z

Warszawy do Łodzi, czy też może w ślad za szkołą przenieść całą resztę? Złośliwi twierdzą, że filmmowcy łódzcy popełnili w minionym okresie jeden niewybaczalny błąd: nie wzniesli w Łodzi wieżowca dla Naczelnego Zarządu Kinematografii. Gdyby zarząd osiadł tutaj, wszystko byłoby prościej.

W tej chwili szkoła stanowi organizm ukształtowany i rozwinięty. W ciągu 23 lat istnienia powstały w niej urządzenia, których nie da się zamówić w handlu uspołecznionym, fabryce lub spółdzielni. Stworzyli je pracownicy szkoły, reprezentujący specjalności niespotykane poza nią. Wielu pracowników technicznych jest związanych ze szkołą od wielu lat, pomimo, że w wytwórniach filmowych dostaliby lepiej płatne posady.

Stworzenie szkoły przed 23 laty w Warszawie miało sens. Przemawiało za tym wiele: najbogatsze środowisko artystyczne, największa ilość teatrów, liczne wystawy, imprezy międzynarodowe itd. Jednakże decyzja o przeniesieniu szkoły dziś, po 23 latach jej istnienia pociągnęłaby za sobą olbrzymie straty materialne i zniszczenie wielkiej i użytecznej instytucji stworzonej wielkim wysiłkiem społecznym.

Na szczęście w czasie wspomnianej rady zabrał głos dyrektor Zarządu Szkół Artystycznych Ministerstwa Kultury i Sztuki — Wiesław Jasieński i oświadczył, że zgodnie z planami zarządu nakreślonymi do roku 1985 nie przewiduje się zmian w lokalizacji szkoły. Na szczęście posłowie

Szewczyk, Błaższczak i Kaczmarek ulegli przytoczonym wyżej argumentom i można oczekiwać, że raport złożony Sejmowej Komisji Kultury doprowadzi do jednoznacznego zlikwidowania bezsensownej wojny nerwów, prowadzonej od kilku lat.

Szkoła Filmowa jest niedoinwestowana. W okresie, w którym telewizja satelitarna i kasetowa jest już faktem, a jej rozpowszechnienie dziełem paru lat, studenci pracują na materiale czarno-białym. „Kształcimy daltonistów” — powiedziała prof. Wanda Jakubowska. W odczuciu młodzieży uczącej się w szkole, opisana tu sytuacja sprzyja temu, że nowoczesny, niezbędny dla studiów sprzęt niechętnie jest przekazywany szkole, bo jest to „szkoła nie kochana”.

Jak mnie poinformował członek Sejmowej Podkomisji do spraw Kinematografii, pos. Roman Kaczmarek, po wizycie w Łodzi Podkomisja sformułowała oraz przekazała ministrowi Kultury i Sztuki swą jednomyślną opinię, że miejsce Szkoły Filmowej jest w Łodzi i jakkolwiek w tym względzie zmiana byłaby ze szkoda dla samej szkoły, dla sztuki filmowej i polskiej kultury.

W ten sposób tytuł, jaki Barbara Seidler dała swemu artykułowi: „Spór o szkołę filmową” jest nieaktualny. Nowe są natomiast przytoczone tam argumenty na rzecz przeniesienia szkoły do Warszawy. Ale są to argumenty rozpaczy, które niczego już zmienić nie mogą.

JERZY URBANKIEWICZ

go pokolenia: „Pana stanowisko — powiedział — jest natury emocjonalnej. Gra pan na ambiejach lokalnego patriotyzmu. Mogę się z tym nawet zgodzić, ale obiektywnie, pana obrona Szkoły przed Warszawa służy małym niedoartystom, którzy zrobili z tej uczelni szkółkę na amatorskim poziomie”.

Jeśli nawet przyjąć, że młody reżyser przesadził w surowej ocenie poziomu uczelni — to jednak nie sposób opędzić się od podejrzenia, że miał sporo racji. Pozycje Szkoły bronili w tym mieście wszyscy — władze, prasa, opinia publiczna... A szkoła?

W ostatnim numerze „Miesięcznika Literackiego” Witold Rutkiewicz pisze:

„Niedawno oglądałem etudy szkolne i ogarnęło mnie wprost przerażenie. Mały, przyziemny realizm, owe przysłowiowe już szkło, dziewczynka i mury, fotografowane w egzotycznej scenerii łódzkich czynszówek... Tym młodym staruszkom zarzucić można wszystko, tylko nie odwagę, odkrywczość, ostrość sądów i patrzenia”.

Powtórzę więc pytanie: „A szkoła?” W tym samym numerze „Miesięcznika Literackiego” na pytanie „Co mi dała szkoła?” odpowiada Grzegorz Królikiewicz, jeden z najciekawszych twórców filmowych ostatniego pokolenia absolwentów łódzkiej szkoły. Oto, co mówi:

„Wszystko właściciele, czego dokonaliśmy w kinematografii, zrobiliśmy przeciwko szkole. Ścisłej, szkoła w niczym nam, jako realizatorom, nie pomogła i nie stworzyła przed nami żadnych perspektyw. Nie była też miejscem jakichkolwiek sporów artystycznych, przynajmniej wtedy, kiedy studiowaliśmy. Od początku, od pierwszego roku zajęła szkoła uczy konformizmu.

Otóż w szkole wykładają również ludzie, których sława bądź mienią bezpowrotnie, bądź nigdy się nie narodziła. Jeśli zaś są to filmmowcy utalentowani, wówczas żądają od studentów bezwolnego podporządkowania się. W rezultacie wśród słuchaczy rodzi się swoisty typ cwaniactwa i konformizmu.

A więc sprawa klimatu, którego nie stworzy jeden czy nawet kilku wybitnych wykładowców, lecz ogół profesorów i władze uczelni. Musi on stwarzać studentowi pewne gwarancje przy ryzyku, jakie podejmuje.

Tymczasem w szkole panuje daleko posunięta dezorientacja. Przede wszystkim ludzie są dość przypadkowi, bez

należytego przygotowania myślowego i artystycznego. Najczęściej są to niespełnieni artyści, a nie artyści.”

Pierwszym warunkiem zmiany atmosfery musi być dążenie do ożywienia umysłowego w szkole. Trzeba też pełnej tolerancji dla różnych kierunków i form artystycznych. Musi istnieć prawo do ryzyka.

Nikt nie odpowiada za to, że w szkole nie można zrealizować ciekawego scenariusza. Dlaczego? Albowiem wśród wykładowców rozpanoszyła się niekompetencja tak w ocenie scenariuszy, jak i gotowych filmów. Zaś lenistwo myślowe nie pozwala przebić się przez rzeczy niezbrane.

Sądzę, że sytuacja ta jest spowodowana brakiem wrażliwości. Gdy tylko bowiem pojawia się teksty mające ambicje uogólniające, zawierające pewną dozę wieloznaczności, natychmiast przypina im się łatkę tzw. „uluzji”. A to już jest kres, śmierć sztuki, jeśli oczywiście sztuka nie ma się składać tylko z konkretnych, choć banalnych obserwacji.

Filozofia zabezpieczenia własnych stółków wpływa oczywiście demoralizująco na studentów, uczy ich przemierzania się do rzeczy małych, marzeń płaskich, celów przyziemnych.

Konkludując: mały realizm to nie wpływ jednego nazwiska „złego” wykładowcy, to suma wszystkich przyziemnych aspiracji.”

Ocena miądząca — i znów, jeśli weźmiemy poprawkę na przesadę i egzaltację, to w końcu

w wypowiedzi Królikiewicza nie wszystko jest sama egzaltacja i przesada. A filmy tego artysty dowodzą, że jest to człowiek w sprawach kina kompetentny.

Więc cóż? Wracając, jak chce Barbara Seidler, do problemu: Łódź czy Warszawa? Zmienić istniejący model szkoły i metody kształcenia — jak chce Grzegorz Królikiewicz? Zalamywać ręce nad małym realizmem — jak Witold Rutkiewicz?

Można oczywiście jeszcze optymistycznie ówierkać, że wszystko idzie ku lepszemu, że nowe zastępy Waidów i Zanussich wyklują się niebawem na Targowej — niech-no tylko zakwitną jabłonie i reforma da owoce.

Z wszystkich jednak przytoczonych tu głosów, tylko jeden najbardziej kontrowersyjny — głos Królikiewicza — wskazuje konkretne przyczyny zastoju i marazmu. Wszystkie inne wypowiedzi i opinie, jakie czytałem ostatnio na temat Szkoły Filmowej były bądź polajanką (celują w tym „Szpilki”), bądź charakteryzowały się elegancją, niezaangażowanym obiektywizmem, bądź były optymistycznym śpiewem na cześć uczelni. Jedyne Królikiewicz odważył się na pasję i bezkompromisowość. „Niekochana” — mówi o łódzkiej Szkole Filmowej. Nie kocha jej reżyser Grzegorz Królikiewicz — to pewne. Ale może dlatego, że kocha film?

W następnym numerze

„ODGŁOSÓW”:

- ☆ W. MALSKI — Tajne dokumenty
- ☆ K. TUROWSKI — Historia, jakich mało
- ☆ J. BĄBIŃSKI — Na Carnaby Street, oraz recenzje, felietony, nowela kryminalna.

Jubileusz obchodzony był skromnie, bo pięć lat to niewiele. Właśnie, wiele czy niewiele? Chyba jedno i drugie. Ludzie, dla których ten pięcioletni okres był, dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, czasem tworzenia repertuaru, zdobywania publiczności, kształtowania charakteru placówki, to chyba wcale nie-mało.

PIĘĆ LAT TEATRU WIELKIEGO

O SUKCESACH I KŁOPOTACH

ROZMAWIAMY Z DYREKTOREM
STANISŁAWEM PIOTROWSKIM

Dyrektor Stanisław Piotrowski kieruje Teatrem Wielkim od pierwszej chwili jego istnienia. I fakt, że nasz teatr po pięciu latach istnienia cieszy się niesłabnącą popularnością, że ma za sobą już cztery występy zagraniczne, a w tym roku szykują się dwa dalsze, że gościł na swej scenie jedenaście zagranicznych zespołów operowych i baletowych, że w Łodzi odbywają się festiwale baletowe, coraz bardziej międzynarodowe, jest w dużej mierze właśnie jego zasługą. Jego energii, inicjatywy, operatywności i osobistej zaangażowania. I widąc wiele ma jeszcze planów do zrealizowania skoro mówi:

— To dopiero pięć lat. Dlatego obchodzimy nasz mały jubileusz bardzo skromnie. Po prostu, trochę bardziej uroczysty niż do roku, koncert dla uczczenia rocznicy Wyzwolenia Łodzi, który przygotowaliśmy tak, by był przeglądem dotychczasowego dorobku Teatru.

— **Panie dyrektorze, jakim chciałby Pan widzieć swój Teatr przede wszystkim?**

— Przede wszystkim powinien być interesujący. To znaczy wartościowy artystycznie, poszukujący, eksperymentujący. Taki, by

w jego repertuarze, obok opery klasycznej, znalazły się nietypowe pozycje operowe, dramaty muzyczne, w miarę możliwości współczesne.

— **Zbliżająca się premiera „Henryka VI na łowach” jest zapewne przykładem poszukiwań. Podobno pomysł powstał w pokoju hotelowym za granicą, podczas rozmowy Pana z Kazimierzem Dejmkiem?**

— Można by tak powiedzieć. Zastanawialiśmy się wówczas nad jakąś nową polską pozycją repertuarową. I z tego „głośnego myślenia” zrodził się pomysł wykorzystania muzyki Kurpińskiego do komedii Bogusławskiego. No, a efekty ujrzymy wkrótce na scenie.

— **Co Pańskim zdaniem jest największym sukcesem Teatru w minionym pięcioletniu?**

— To, że nie odwołaliśmy ani jednego przedstawienia. Nawet w czasie epidemii grypy.

— **A na serio?**

— To było na serio. A także to, że utrzymaliśmy frekwencję i nie

sprawdziły się przewidywania pesymistów, iż zainteresowania Teatrem starczy na dwa, trzy lata. Średnia frekwencja wynosi nadal około 90 procent.

— **I może jako ciekawostka. Które z przedstawień cieszyły się największym powodzeniem?**

— „Książę Igor” grany 129 razy, „Straszny dwór” — 112 razy i „Zemsta nietoperza” — 108. Za jedno z największych osiągnięć uważam Łódzkie Spotkania Baletowe, które przyjęły się już jako stała impreza i cieszą się rosnącym zainteresowaniem zagranicy. W tym roku zgłosiło udział w spotkaniach pięć zespołów zagranicznych z: ZSRR, Anglii, Francji, Rumunii i Czechosłowacji.

Ogólnie mówiąc, nasz Teatr przyjął się w Łodzi i poza nią. Coraz częściej przyjeżdżają do nas impresaria zagraniczni, zainteresowani naszymi występami w ich krajach.

— **Z czego wynikają, jak mi się zdaje, i korzyści i kłopoty, bo impresaria ci zainteresowani są również solistami. W efekcie słabe mamy nadzieje na oglądanie w Łodzi Teresy Kubiak czy Izabelli Nawe, a jak słyszałam i inni soliści walczą teraz z pokusą. Ale to już cena, którą płaci się za wysoki poziom wykonawców.**

— Brak solistów stał się problemem ogólnopolskim. Jego rozwiązanie leży w dopływie nowych solistów i z tym są największe kłopoty.

— **Pamiętam jak przed 16 bodaj laty Opera Łódzka mogła powstać jedynie dzięki temu, że WSM miała znakomitą młodzież wokalistyczną, a Łódź nazywano wówczas „wylęgarnią śpiewaków”.**

— Tak, ale był to okres powojenny, kiedy „nabierało się” wielu artystów. Poza tym powstało w kraju wiele placówek operowych. Dziś WSM nie dać już tytułu śpiewaków. Nasz Teatr chętnie lansuje młodzież, jest sceną wielu debiutów. Między innymi ograniczając się tylko do pań — Izabella Kobus, Danuta Saleka, Janina Kostyszyn, Izabella Nawe i Alicja Pawlak u nas święciły swój operowy debiut.

— **Ala to wszystko mało. Dlatego, moim zdaniem, istnieje pilna potrzeba uruchomienia studium operowego, które w przeciągu kilku lat kształciłoby wokalistów dla naszej sceny, a może i nie tylko naszej. Kandydaci rekrutowaliby się ze średnich szkół muzycznych, a w wyjątkowych wypadkach mogliśmy kształcić talenty samorodne. O tym, że problem ma charakter ogólnopolski świadczy niedawna konferencja zorganizowana przez sekcję muzyczną ZG SPATIF oraz Min. Kultury — właśnie w tej sprawie.**

Mamy zresztą doświadczenia ze studium baletowym, które prowadzimy już piątą rocznicę i które spełniło całkowicie nasze oczekiwania. Z 60 osób, które zapisały się na początku, wykuszyla się jed-

na trzecia i w tej chwili szkoli-amy ponad 40 tancerek i tancerzy, część z nich już pracuje. Ale nad studium zbierają się chmury. Ze względów organizacyjnych podlega ono Łódzkiemu Towarzystwu Muzycznemu, którego uprawnienia do prowadzenia Studium o nieco innym charakterze niż Ogniska — zakwestionowali ostatnio wizytatorzy. Jeśli więc zapadnie decyzja negatywna, cały 5-letni dorobek pójdzie na marne, a Teatr straci szansę kształcenia narybku tańceznego.

— **Czy z innymi zespołami są również kłopoty tego typu?**

— Wiele z tych kłopotów ma źródła w sprawach natury bytowej. Orkiestra nasza cierpi na brak instrumentalistów, którzy często odchodzą do Filharmonii. Uposażenie muzyków operowych jest i powinno być wyższe niż filharmonicznym. Pracy jest tu bowiem więcej, w dodatku jest mniej efektywna, bo w zasadzie anonimowa. Na przykład uposażenie instrumentalistów Teatru Wielkiego w Warszawie jest o 20 procent wyższe niż Filharmonii Narodowej, nasi mają pensje nieco niższe niż filharmoniczni.

Podobnie jest w zespole technicznym, gdzie stawki są niższe niż w przemyśle, a praca wcale nie łatwiejsza. Przy ogromnym i nietypowym dla innych teatrów operowych w kraju zmechanizowaniu naszej sceny, praca personelu technicznego, jego fachowość jest niezmiernie ważna. Mamy dobrych techników, dobrych rzemieślników, ale nie możemy zapewnić im warunków, które by ich u nas zatrzymały. Jeśli na początku mówilem o eksperymentowaniu, to miałem na myśli również eksperyment techniczny, który jest u nas stale prowadzony. Stosujemy coraz częściej chemię, materiały zastępcze i tu zmiana ludzi jest poważną przeszkodą.

Ostatnio na przykład otrzymaliśmy pewne kwoty, które chcemy przeznaczyć na zakup specjalnych projektorów. Dzięki nim, w niektórych przedstawieniach będziemy mogli zastępować dekoracje zdjęciami autentycznych obiektów lub makiet, do złudzenia imitujących dekoracje. Ten typ scenografii, bardzo praktyczny i ekonomiczny, stosowany jest na przykład w NRF.

— **To są już kłopoty wyższego lotu. Czy dzięki nim łatwiej zapomnieć o kłopotach codziennych?**

— Niestety, te codzienne są najbardziej dokuczliwe, dla ich zmniejszenia chcielibyśmy zmiany modelu organizacyjno-finansowego, większej samodzielności w gospodarowaniu powierzonymi nam kwotami. Jednym słowem przejścia w jakiejś mierze na własny rachunek.

— **Co jest, Pana zdaniem, najpilniejszą sprawą do rozwiązania?**

— Rozładowanie ciasnoty, szczególnie w garderobach i magazynach. Do czasu rozbudowy gmachu technicznego, mamy otrzymać

budynek zastępczy w pobliżu teatru, to poprawi trochę sytuację. Bardzo istotna jest też poprawa warunków socjalnych. Mamy największe w kraju teatralne koło ZMS, ale nasza młodzież nie ma pomieszczenia w rodzaju klubu czy świetlicy. Nie mamy również stołówki, choć istnieje pilna potrzeba jej uruchomienia. Te wszystkie problemy miała rozwiązać budowa domu aktora przy ul. Narutowicza. Niestety, Biuro Projektów nie wywiązuje się z przyjętych terminów i budowa stale się odwleka.

— **Czy kłopoty i trudności o których mówiliśmy wyżej przyczyniają się do tego, że liczba premier w sezonie jest ciągle chyba za mała?**

— Jeżeli, to w niewielkim stopniu. Moim zdaniem jesteśmy w stanie dać sześć premier rocznie, do tego trzeba tylko zwiększenia intensywności pracy, lepszej jej organizacji.

— **Przepraszam, że odbiegam od tematu, ale jest dopiero godzina 18.30, a jak słyszę, rozpoczyna się już przedstawienie?**

— To „Królewna Śnieżka”, więc zacinamy wcześniej.

— **Czy najmłodsza publiczność jest zadowolona z Teatru?**

— Czy z Teatru — nie wiem, ale ze „Śnieżki” nadzwyczajnie. Powodzenie tej bajki zmusza nas do myślenia o następnej pozycji dla dzieci. Być może będą to „Przygody Pana Kleksa”, z dużym sukcesem grane przed kilku laty w Teatrze Narodowym w Warszawie. Tyle, że dla nas trzeba by to przerobić na operę.

— **Przyzwyczajanie dzieci do bywania w Teatrze Wielkim jest nadzwyczaj pozytywne i prowadzi do tego, że w dniu jubileusza 25-lecia placówki będzie mi Pan mógł powtórzyć, iż frekwencja w Teatrze wynosi 90 procent. Jest to perspektywa tak optymistyczna, że należy ją właśnie zakończyć naszą rozmową.**

Dla Pana i na Pana ręce dla wszystkich zespołów Teatru Wielkiego serdeczne gratulacje i życzenia dalszych sukcesów.

Rozmawiała:

TERESA WOJCIECHOWSKA



GUSTAW ROMANOWSKI

RYTMY CZY ZGRZYTY?



Anna Trojanowska — „Portret matki” olej, płótno, 1969

Malarstwo Anny Trojanowskiej wyrosło — wydaje się — bardzo mocno z tradycji sztuki rodzimej. Są to nawiązania najlepsze, bo w obrazach tej malarki odbijają się wyraźne tropy finezyjnej i niepokojącej sztuki Wojtkiewicza, a ostatnio — również wpływy malarstwa pejzażowego Stanisławskiego. Ale przecież Trojanowska stawia inne cele swojej sztuce, niż tylko kontynuację tradycji. Dowodzą tego dotychczasowe dokonania twórcze malarki.

Znaliśmy przecież tę twórczość przede wszystkim z mroczno-melancholijnych obrazów, ciemnych w kolorze, przeważnie opartych na czerni, szarościach i z minimalnym tylko wykorzystaniem bardziej żywych barw. W obrazach tych, powołane do życia postacie porażone były jakąś bezwiedną rezygnacją, niemocą i uległością wobec życia. I jeśli nawet twarze postaci — przeważnie kobiet — były spokojne, a czasem nawet melancholijnie uśmiechnięte, to odbijało się w nich przekonanie o całkowitej przegranej; piętno rezygnacji formowało bowiem sam rysunek ludzkich sylwetek. Reszty zaś dopełniał kolorystyka i nadzwyczaj ubogi sztafaż obrazów. Takie były „Kobiety mądrałińskie”, takie były „Leżące postacie”.

Na łódzkiej wystawie Anna Trojanowska pokazała tylko kilka obrazów utrzymanych w tym klimacie, czym sprawiła może pewien zawód obserwatorom jej talentu^{*)}: Zawód, bo pełne ciszonej ekspresji ciemne obrazy malarki, posiadają w sobie wielki ładunek autentycznej dramaturgii, ukazanej bardzo skromnymi środkami wyrazowymi. W obrazach tych dominuje wielka dyscyplina w kształtowaniu materii malarskiej, charakteryzuje je umiar i skupienie. To właśnie na podstawie tych cech, malarstwo Trojanowskiej odróżniło się na tle bieżącej produkcji artystycznej, co przecież dla wielu plastyków może być celem samym w sobie. Ale na łódzkiej wystawie Trojanowska zechciała przede wszystkim pokazać sporo maleńkich obrazków, bardzo kolorowych i wesołych, jakichś dość osobliwych mini-pejzaży. Artystka

nawiązuje w nich świadomie do malarstwa pejzażowego Stanisławskiego: takie samo uchwycenie fragmentu krajobrazu, podobne modelowanie płynnego konturu, identyczne formaty prac. Tyle, że stawiając przede wszystkim na rozwiązanie kolorystyczne, na żonglerkę barwami, obrazy te sprawiają wrażenie bardziej prac szkoleniowych i doświadczeniowych niż twórczości na serio. Wydaje się również, że artystka nazbyt zawierzyła swobodzie w operowaniu pędzlem, co kwalifikuje raczej te próby jako wprawki przed właściwym dopiero malowaniem.

Szkoda więc, że nie zobaczyliśmy na wystawie w Teatrze Wielkim więcej obrazów o bardziej głębokim wnętrzu, że malarka chce zademonstrować inne możliwości swego warsztatu, zubożyła nas jednocześnie o kilka silniejszych wrażeń. Sądząc, że w malarstwie pejzażowym, które uprawia dziś Trojanowska, szansę osiągnięcia poziomu dobrej sztuki, posiadają takie obrazy większe formatem jak choćby „Pejzaż z synagogą”, gdzie bardziej wyczuwa się klimat i atmosferę jakiejś akcji. Natomiast tylko kolorystyczne doświadczenia wyraźnie nie służą postawie artystycznej, na jakiej wykształciła się dotychczasowa twórczość Trojanowskiej.

Przymierzając więc do siebie obydwaj kierunki malarskiej penetracji artystki, wypadła stwierdzenie z pewnym zdziwieniem, że trzymanie się pewnych wzorców czerpanych z najlepszej tradycji, może dawać tak odmiennie efekty i w tak różny sposób wzbogacać naszą wiedzę o sztuce. Tradycja przejmowana bez dystansu i bez istotnej wewnętrznej potrzeby, jawi się naraz płasko i nie przekonuje. I na odwrót — tam, gdzie tradycja jest tylko bodźcem do uchwycenia jedynie nastroju, gestu, atmosfery, tam właśnie sprawdza się ona w malarstwie Trojanowskiej klarownie i czysto.

^{*)} Anna Trojanowska — malarstwo. Teatr Wielki w Łodzi — listopad — grudzień 1971.

STANISŁAW KASZYŃSKI

TELEFON

ZMYŚLENIE AUTENTYCZNE

Od dwudziestu pięciu lat K. mieszkał w wielkim osrodku miejskim, w okresie drugiego i trzeciego ćwierćwiecza bieżącego wieku. Przyjechał tutaj z maleńkiej miejscowości, która miała tę wyższość jedynie nad metropolią, że przebiegała przez nie rzeka. Pod każdym innym względem miejsce urodzenia i dzieciństwa K. było nad wyraz upośledzone. Sądząc po charakterze K. ludzie tam żyjący byli niewątpliwie prości i dobrotliwi. Cenili pozytywki płynące z dobrodziejstw kultury, a do zdobyci cywilizacji odnosili się z należytym szacunkiem. Sądząc po charakterze K. ludzie tam żyjący byli niewątpliwie prości i dobrotliwi. Cenili pozytywki płynące z dobrodziejstw kultury, a do zdobyci cywilizacji odnosili się z należytym szacunkiem. Sądząc po charakterze K. ludzie tam żyjący byli niewątpliwie prości i dobrotliwi. Cenili pozytywki płynące z dobrodziejstw kultury, a do zdobyci cywilizacji odnosili się z należytym szacunkiem.

myśl ta przekształcała się w pragnienie posiadania własnego telefonu. Także to kolej rzeczy, najpierw o czymś marzymy, potem staramy się te mrzonki urzeczywistnić. K. nie różnił się w tej mierze od innych ludzi. I to go właśnie zgubiło. Zgubiła go zwykła najwzyczajniejsza chętka na telefon, choć K. nazywał to uczucie poważnie. Na nic się zdały wszelkie perswazyje przyjaciół i znajomych, rozropne rady, że telefon niszczy nerwy, dekoncentruje uwagę, przysparza kłopotów rodzinie, skracca sen czy przedłuża dzień pracy. Mając telefon, powiadali koledy, musisz żyć w ciągłym pogotowiu, w ustawicznej czujności ducha i ciała. Pomyśl — powtarzali — nie masz na przykład ochoty na uczestnictwo w jakimś posiedzeniu w nieprzewidywanym terminie. Nie idziesz, bo na list za późno a zadzwonić nie mogą. Pięć godzin z głowy. Albo skrzykują się na pilną wódkę, ty zaś masz pilną robotę w domu. Nie pójdziesz w Polskę, czysty zysk na zdrowiu, umyśle i kieszeni. Stary, daj sobie spokój! K. był jednak niezłomny w swym postanowieniu. Mimo powszechnych narzekania na telefon, nie słyszał przecież, aby ktoś z jego doradców zrezygnował z aparatu. Z miłości bliźniego zaproponował nawet pewnemu facetowi, że wybawi go z telefonicznej niedoli. Niestety, ten gest miłosierdzia zdecydowanie. Z pokorą i wiarą złożył zatem podanie.

Do podania przyspilił szereg załączników, pochodzących z rozmaitych instytucji, z którymi K. dorywczo lub stale współpracował. Aha, zapomniałem bowiem powiedzieć, że ca przeprasza, że K. w ciągu owych długich lat dopracował się dość poważnego sta-

nowiska. Nie upoważnił mnie jednak do dokładniejszej opowieści o swoim życiu, toteż nic więcej nie mogę napisać. No więc te pisma, które załączył do podania, były przychylnie dla petenta, określały rodzaj jego działalności, dość użytecznej czy może i pożytecznej. Wiem to od niego. Nie znam przecież na tyle K., ażeby wydać o nim jakiegokolwiek opinie, co innego owe instytucje, które poparty jego prośbą. Nie miało to nic wspólnego z protekcją. Nie, nie! Ja, podobnie jak K., brzydzimy się protekcją, nie korzystamy wcale z jej dobroczynnego, tak przynajmniej mówią, działania, dzięki czemu reprezentujemy poglądy olbrzymiej większości naszych współziomków. Z prawdziwą satysfakcją muszę to stwierdzić, tylko nasi satyrycy i pewni dziennikarze są odmiennego zdania.

Nie dowierzając zbyt poczęcie, K. sam odniósł podanie. Przekazał je grzecznie paniącej z okienka, trochę smutnej i nieco zaspasanej. Wierzył natomiast niezachwianie w potęgę wszelkich urzędów i autorytet ich przedstawicieli, czemu nie należy się dziwić, gdy zna się życie i literaturę. Zniewolił też paniąkę do przeczytania podania i załączników. W czasie lektury osłabła druga strona raz po raz zerkająca na K., chcąc jakby sprawdzić rzetelność przytoczonych argumentów z postacią petenta. Porównanie miało wypaść dobrze. K. otrzymał numer, zapisany w wielkiej księdze, który zanotował starannie w kalendarzu. Żeby nie wracać do tego szczegółu, nadmienię tutaj, że przepisywał go wytrwale z jednego kalendarza do następnego. Przez wiele lat. Robił to cierpliwie, powiedziano mu bowiem stanowczo, że trzeba czekać. Uszanowano mu tak ważnymi i obiektywnymi przyczynami, że głupiec by zrozumiał. A przez te lata kilka drobniaków zdarzyło się w życiu K. Ożenił się, urodziła mu się córka, skończyła szkołę podstawową i zdała egzamin do liceum. Gdzieś w połowie tej drogi, dotychczasowe, wprost wzorcowe męstwo czekania zaczęło K. stopniowo opuszczać. Bronił się przed tym żarliwie. Budził w sobie dyscyplinę obywatelską, wzmacniał siebie i krzepił wielkimi dokonaniem jak kraj długi i szeroki. W chwilach szczególniego zwątpienia przypominał sobie wspaniałych bohaterów, z kart literatury, od greckiej, antycznej poczynając aż do produkcyjnej włącznie. Uwrażliwiony na wszystko, co miało najmniejszy, nikły wręcz związek z telefonem, popadł nieborek w stan zgoła osobliwy. Początkowo objawiał się on w obsesyjnym wprost obserwowaniu i podsłuchiwaniami. K. stał się kimś w rodzaju teledetektywa. Intrygował go każdy drut i przewód, każdy przedmiot w kształcie zbliżonym do słuchawki. Godzinami przebywał na placach budowy czy na ulicach, gdzie kopano rowy i przeciągano nimi kabele, odwijany z drewnianych bębnow. Wyjeżdżając poza miasto, przystawał często pod słupami telefonicznymi, wsluchując się w śpiew drutów, w przeciągłe bykanie snujące się z góry. Była to dla niego najpiękniejsza muzyka, wygrywana na wielolinij przewodów. A nad morzem zbierał na brzegu muszle, podnosił je z przecięciem do uszu i wsluchiwał się jak urzeczony w leciutki szum, dobywający się z wnętrza. Zwierał mi się, iż były to niezapomniane chwile, pogodne i radosne.

W tym właśnie czasie, gdy telefoniasis (nazwa choroby, spotykana wyłącznie w wielkich miastach polskich) poczęła przybierać formy zauważalne, spotykałem K. bardzo często. Spokojny niegdyś i opanowany, o usposobieniu statycznym, zdradzał teraz objawy silnego rozdraźnienia. Nie można było z nim rozmawiać. Na pytania odpowiadał zdawkowo, krótkim „nie” lub melancholijnym „tak”, i tylko patrzył na wszystkich, jakby z wyrzutem, wpatrując się bystro w uszy. Nic go nie interesowało poza uszami. Okropnie! Udało mi się namówić go na wódkę. Po kilku kieliszkach nieco się rozluźnił, zaczął nawet przyglądać się kobietom i to grubo poniżej uszu. Opróżniliśmy dwie butelki. Na początku trzeciej wylgnął się i wiesz... nie mogę już spać... ten cholerny... dłużej nie wytrzymam... ciągle każę czekać... ale wokół zakładają... zakładają... zakładają... jakiś jegomość... wciąż pomimo to smutny... cieszyć się powinien... I tak dalej bredził przez kilka godzin.

Żal okrutny mnie opanował. Tak żal, że gdy sączyliśmy trzecią butelkę, miałem już zaproponować mu oddanie telefonu, lecz przeraziłem się babci, która by prosto żyć bez telefonu nie mogła.

Potem straciłem kontakt z K. Wyjechałem z tego miasta na dłuższy czas. Po powrocie nie od razu go spotkałem. Mówiono mi, że zgorzkniał i zdziwaczał. Stronił od ludzi, unikał przyjaciół i znajomych. Po pracy zamykał się w domu, wychodząc tylko dla załatwienia nieodczujnych spraw. Postanowiłem go odwiedzić. Nie bez obaw udałem się na ulicę N. Zapukałem cicho, po chwili raz jeszcze, już silniej. Nikt nie podchodził do drzwi. Zawahałem się, co robić. Nie miałem odwagi dobijać się gwałtowniej do cudzego mieszkania, nie w moim to zwyczaj, ale pragnienie zobaczenia K. było mocniejsze. Tym bardziej, że dochodzące spoza drzwi ostre dźwięki świadczyły, że ktoś jest w domu. Czekałem. W pewnym momencie w głębi nastąpiła cisza. Zapukałem. Otworzyły się drzwi, a w nich K. Był w pysznym humorze. Skinął przyjaźnie głową i zaprosił mnie do swego gabinetu. Dziś, po wielu latach, nie potrafię już opisać dokładnie tego pokoju; zapamiętałem kilka szczegółów. Cały pokój był w kablach. Zwisły z sufitu i ze ścian, udrapowane w jakąś misterną pajęczynę. Zrobiło to na mnie niesamowite wrażenie. Przyrzawszy się jej dokładnie, doszedłem do wniosku, że tworzyła ona klatkę, rozpiętą nad tapczanem. Obok tapczanu stało masywne biurko, na nim kilkanaście aparatów telefonicznych różnej wielkości i barwy. Każdy aparat był podłączony do gniazdka. Nad nimi, na wysokości dwóch czy trzech metrów od podłogi, świeciły ze ścian srebryście dzwonki. To było źródło dźwięku. Nie poznałem K. Zmienił się gruntownie. Do niedawna jeszcze osiadały i zgrzybiały, promieniła energią. Z przyjemnością patrzyłem na przyjaciela szczęśliwego od stóp do głów. A już przestałem wierzyć w jego odrodzenie. Nie czekając na moje pytania K. zaczął mi objaśniać, co to wszystko znaczy, demonstrując przy tym działania mechanizmów. Wykreślał po kolei numery z aparatów. Badał że każdy z numerów oznaczał jakąś datę z jego drogi przez telemę. A więc były to daty wysłania dalszych załączników do podania, rozmów z Osobami Urzędu, wizyt w Urzędzie. Chyba czwarty aparat odczytał się po wykreśleniu numeru — daty pijanstwa z pewnym osobnikiem, który miał załatwić telefon. Zapomniałem powiedzieć, iż K. po kilku latach zmienił pogląd na protekcję, nie będąc go usprawiedliwiając, ale nie dziwić się wcale. Każdy dzwonek rozbrzmiewał inaczej, jeśli tak rzecz można — w tonacji treści pism czy rozmów z Osobami Urzędu. Właśnie. Pierwszy dzwonek utrwalał głos tej paniąki z okienka, która przyjmowała podanie K.

Najbardziej zainteresowały mnie opowieści K. o snach, jakie nawiądzali go ostatnio coraz natręcywiej. Nie powiedział mi, czy te sny miały jakiś związek z wystrojem pokoju, w jakim mieszkał, domyślałem się przecież, że majaczenia nocne odbijały po części tę rzeczywistość. Najczęściej pojawiały się sceny awantur i bijatyk, umiejscowione w dziwnych pejzażach, które przywiodły mi na pamięć piekło. Wpływ to był zapewne określonych lektur i rozważań, inspiracja udręczonej podświadomości, która musiała znaleźć ujście w obrazach ewangelicznej sprawiedliwości. Otóż właśnie tutaj, w rejonach wiecznego potępienia, przebywali bohaterowie jego długoletnich zgryzot i utrapień. Zwierał mi się, że upodobał sobie centralny teren obszarów piekielnych, które, zapożyczając nomenklatury ziemskiej można by nazwać Śródmieście piekła. K. nadzwyczaj lubił tę serię obrazów, określił go tele-serialem. Z widoczną satysfakcją opowiadał mi, jak to jać się osobnicy w maskach, trzymali nad paleniskiem, na czarnych widelkach, utrzymujących się na grubych czerwonych kablach, przerażonych asystentów i adiunktów, zwłaszcza zaś pastwili się nad starszym panem, niechybnie ich szefem. Spytałem K., kim mogli być ci osobnicy w maskach, odpowiedział chichocząc przy tym, że to petenci Urzędu. Nie przypuszczam jednakże, że to byli oni. Gdzież by bowiem porządni ludzie fatygowali się tak daleko, do samego piekła, mając tyle do

załatwienia w ziemskich instytucjach. Na tym tle doszło zresztą między nami do gwałtownej sprzeczki. A w ogóle — proszę mi wierzyć — wstyd mnie za K. Nigdy bym nie pomyślał, że ten człowiek, poczciwy ongiś i szlachetny, zmieni się tak bardzo i do tego stopnia rozbestwi wyobraźnię.

Pożegnałem się i szybko wyszedłem. W niespełna miesiąc po tej wizycie K. zadzwonił do mnie. Dzwonił z własnego aparatu. Nie wspomniał nawet, jakim sposobem czyli cudem, dostał telefon. Powiedział mi natomiast, że stara się o przydział na zagraniczny samochód, i że złożył już podanie z szeregiem załączników. Działło się to w końcu trzeciego ćwierćwiecza bieżącego wieku. Jeśli dożyję pomyślnego załatwienia tej sprawy, nie omieszkać o tym napisać.

POLONICA

ODCZYT
PROF. LORENTZA

W Polskiej Stacji PAN w Paryżu (istniejącej od kilkunastu lat, zrazu jako stacja krakowskiej Akademii Umiejętności) prof. Stanisław Lorentz wygłosił odczyt o odbudowie warszawskiego Zamku Królewskiego. Przewodniczył przez Francuskiego Komitetu Odbudowy Zamku, przewodniczący Rady departamentu Yvelines, Jean Paul Palewski. Obecni byli m. in. b. minister, Paul Bastide, prof. Jean Huguennot i konserwator Christian Lacour. Dia wyposażenia Zamku w stylowe meble z drugiej połowy XVIII stulecia potrzebna jest pomoc Francji.

ODZNACZONY HISTORYK FRANCUSKI

Za zasługi na polu francusko-polskiego zblżenia naukowego odznaczony został Orderem Odrodzenia Polski wybitny historyk francuski, mediewista, prof. Jacques Le Goff, sekretarz generalny VI Sekcji Ecole des Hautes Etudes Pratiques. Prof. Le Goff jest autorem książek o inteligencji w średniowieczu oraz o kulturze Zachodu. Stwierdził on, że mistrzem w badaniach był dla niego polski uczonec, prof. Manteuffel.

NASI PRZYJACIELE

Państwowe nagrody artystyczne, przyznawane przez ministra kultury, przypadły ostatnio we Francji dwu naszym przyjacielom. Nagrodę literacką otrzymał poeta, prozaik i krytyk, Jean Casson. Przedwojenny antyfaszysta, aktywny uczestnik Ruchu Oporu podczas wojny, ranny w walkach o wyzwolenie w 1944 roku, Casson wielokrotnie bawił w naszym kraju i tłumaczył sporo polskich wierszy. m. in. „Fortepian Chopina”, recytowany na uroczystym wieczorze, uroczystym przed kilku tygodniami przez naszą ambasadę w Paryżu.

Główną nagrodę w dziedzinie teatru otrzymał świetny krytyk, odkrywca sztuk Ionesco i Audieriego, Jacques Lemarchand, również czynny uczestnik Ruchu Oporu. W 1964 roku był w naszym kraju, napisał szereg artykułów o polskim życiu teatralnym, jako kierownik serii w wydawnictwie Gallimard zdecydował o wydaniu sztuk Witkacego. A po premierze „Matki” w 1970 r., sztuk Rittnera i Dobrzańskiego dał entuzjastyczne recenzje.

W. N.

POLONICA



Rys. L. Woźnicki

Utopijna powieść Hermanna Hesse

Ostatnio udostępniono czytelnikowi polskiemu sławną, wyróżnioną nagrodą Nobla, powieść Hermanna Hesse, którą autor napisał w Szwajcarii w 1943 roku. Hesse, opuściwszy w 1912 roku Niemcy, aby w kilkanaście lat później przyjąć obywatelstwo szwajcarskie, stworzył dzieło ukazujące wielowymiarową, utopijną wizję ludzkości. Akcja powieści toczy się w 2200 roku w państwie uczonych zwanym Kastalią. Wieki ubiegłe doprowadziły ludzkość do chaosu i dezorganizacji. Znalazienie duchowych, intelektualnych prawd stało się możliwe jedynie w utopijnej Kastalii, gdzie zhierarchizowany zakon uczonych, oddzielony od codziennego życia, stoi na straży ulotnych, nie znanych bliżej wartości ducha. Powstałemu chaosowi może zaradzić jedynie wyteżona praca umysłowa. Podstawowym zajęciem w tym utopijnym państwie jest gra w szklane paciorki, czynność, która wymaga intelektualnego wysiłku, co w pojęciu uczonych jest jedynym słusznym zajęciem godnym prawdziwie myślącego człowieka. W posiadaniu zakonu jest także skomplikowana aparatura, rozumiała w obsłudze jedynie dla nielicznych. Jest ona sumą i wyobrażeniem wiedzy zdobytej przez ludzi. Znajomość obsługi tej maszyny wymaga ogromnej wiedzy, prądu dzielnego intelektu. Wśród mieszkańców Kastalii enoty takie reprezentuje Thomas von der Trave (jest to oczywista aluzja do Thomasa Manna, który jak wiadomo, urodził się nad Trawą w Lubecie).

Właściwy bohater powieści, Josef Knecht — mistrz w grze w szklane paciorki, który piastuje także wysoką pozycję w hierarchii społecznej Kastalii, zostaje

opadnięty przez wątpliwości, czy rzeczywiście umysłowa ekskluzywność jest prawdziwie słuszną drogą. Ta myśl przesładuje go coraz częściej, coraz wyraźniej widzi także i ujemne strony egzystencji w państwie utopii. Postanawia powrócić do zwykłego życia jako normalny, przeciętny obywatel. Jednak jeszcze tego samego dnia, kiedy podjął się wychowania chłopca, topi się w czasie kąpeli w górskim jeziorze.

Hesse nie mówi, czy tego rodzaju finał ma jednocześnie oznaczać, że wyście obrane przez Josefa Knechta nie było właściwe. Jest rzeczą prawdopodobną, że Hesse sugerował jedynie, iż życie ludzkie to ustawiczny kontrast, sprzeczność między realizmem a idealizmem, między niedoskonałą rzeczywistością a światem snów i fantazji. Jedną myśl powtarza Hesse z przekonaniem, a mianowicie, że powrót ludzi do humanizmu i do rzeczywistości jest jedyną słuszną drogą. Wielkim zewnętrznym walorem książki jest jej poetyckość, melodyjność języka. Utwór Hermanna Hesse to trudna, ale świetna proza. Jeśli chodzi o przykład, to translatorka i dzielnie poradziła sobie z zasadzkami językowymi, w które dzieło Hessego obfituje. Nie jest to łatwa lektura, ale daje czytającemu zadowolenie, gdyż ładunek estetycznej satysfakcji jest wystarczająco silny, aby zaspokoić najbardziej nawet wybrednego czytelnika, zwłaszcza takiego, który lubi podumać nad dalszymi losami ludzkiej kultury.

* Hermann Hesse — „GRA SZKLANÝCH PACIORKÓW”, Wydawnictwo Poznańskie, 1971, tłumaczyła Maria Kurecka.



To jeszcze lata czterdzieste

dzia ludowa była już faktem dokonanym. Mimo to jednak, jeszcze wtedy w samym centrum kraju, bo na terenach województwa łódzkiego, banda Mściciela ciągle grasowała w imię jakichś innych racji. „Posterunki zdają” to jeszcze jedna pozycja o ludziach z „tamtych lat”. Spisana na podstawie autentycznych wydarzeń stanowi dość interesującą lekturę, zwłaszcza dla mieszkańców naszego regionu. Z tą tylko różnicą, że dla starszych czytelników będzie stanowić chwilę wspomnień, dla młodszych zaś swoistą lekcję historii, gdyż pewna wartość dokumentalna tej pozycji jest niezaprzeczalna.

Jednak w tym miejscu, zaliczając się do drugiej grupy odbiorców muszę stwierdzić, że czytelność tej lektury pozostawia wiele do życzenia. Autor chcąc zapewne ożywić akcję, konstruował swe opowieści na zasadzie impresji, lecz mimo wzajemnych powiązań tematycznych, są częstokroć zbyt nieoczekiwane, aby móc od razu podchwycić bieg wydarzeń. Po prostu nadmierna dążność do intensyfikacji treści wpły-

nęła ujemnie na przejrzystość odbioru. Pewna chronologiczność byłaby bardziej korzystna.

Nie to jednak jest najważniejsze.

Otóż staram się ciągle podkreślać, że jeszcze zbyt mało pisze się o sprawach naszego regionu, o historii, o kulturze. Dlatego też każda pozycja na temat łódzkie pochwalam już a priori, a tym bardziej jeśli daje możliwości pewnych przemyśleń. A taką jest książka Daszkiewicz. Uważniejszej jej lektura przypomina na marginesie, niezbyt miły fakt, jak mało pamiętamy o tym, co przeżyli łódzianie podczas ostatniej wojny. Gdzieś są miejsca zbrodni wymieniane przez Daszkiewicz? Kto je upamiętnił? Nie ma przecież żadnej tablicy w miejscu dawnego obozu na ulicach: Łkowej, Konstantynowskiej, Kopernika, Leśnej, Wólcząńskiej, Kątnej. Warto chyba o tym pomyśleć? I to bez specjalnej okazji.

Tadeusz Daszkiewicz: „POSTERUNKI ZDJAC”, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1970, wyd. I, str. 148, cena zł 10.

W witrynach księgarskich całej Polski (bo pozycję tę widziałem w kilku miastach), ukazała się książka Tadeusza Daszkiewicza „Posterunki zdają”, wydana nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

W czasach, kiedy trwa dyskusja nad dalszymi przygodami Klossa, czy „Czterech pancernych”, otrzymaliśmy nagle pozycję, która po części mogłaby być odpowiedzią. Ewentualna ekranizacja przeżyć Piotra Niedoli z łatwością może służyć za dalsze odcinki „Stawki większej niż życie”.

Okazuje się bowiem, że perypetie służby bezpieczeństwa nie kończą się na walkach z bandami UPA i NSZ w roku 1946. Akcja książki Daszkiewicza rozgrywa się w swej integralnej części w 1948 roku, a więc w okresie kiedy wła-

Ernest Hemingway, John Steinbeck, Saul Bellow, I. D. Salinger, Norman Mailer, James Baldwin, Harry Sylvester, Willa Carther, J. F. Powers, Edwin O'Connor.

Na wstępie Rogalski stawia retoryczne pytanie: czy literatura amerykańska jest wrażliwa na doświadczenia religijne? Chcąc rozwiązać ten temat stawia jednak dwa, sprzeczne ze sobą, założenia: jest wrażliwa oraz jest pozbawiona zupełnie odniesienia do spraw religijnych.

Oczywiście nie jest to miejsce na streszczenie niezmiernie interesujących, napisanych z pasją zawodowego krytyka, esejów. Książkę Rogalskiego trzeba przeczytać, trzeba z nią podyskutować. Można oczywiście zgadzać się z racjami autora lub je podważyć, lecz nie sposób nie przyznać, że zagadnienia jakże porusza Rogalski nie były dotąd tak szeroko i wszechstronnie omawiane.

Aleksander Rogalski: SZKICE AMERYKAŃSKIE.

Inst. Wyd. PAX. 1971 r. Stron 280. Cena 25 zł.

ZAPISKI W WIEJSKIM KALENDARZU

Coraz częściej pojawiają się na naszym rynku czytelnicy książki pisarzy z NRD. Literatura naszych zachodnich sąsiadów jest bardzo młoda i jest ściśle związana z powstawaniem samodzielnego państwa nie mieckiego. „Zapiski w wiejskim kalendarzu” (W. Erwina Strittmatera są kontynuacją cennego zamierzenia Wydawnictwa Poznańskiego, które specjalizuje się w tego typu publikacjach).

„Zapiski w wiejskim kalendarzu” to zbiór opowiadań, a właściwie miniatur powstałych w wyniku obserwacji przyrody i wsi ludzkiej. Są to piękne, pełne zadumy, poezji i rozważań utwory, z których każdy jest odrębną całością, mimo że razem tworzą pewien logiczny ciąg. Można tylko żałować, że nie wszyscy czytelnicy znają język niemiecki,

gdyż żaden przekład, choćby najdoskonalszy, nie odda bogactwa, specyfiki klimatu przepelniającego te drobne, liryczne, miniaturki. Jednakże Eugeniusz Wachowiak jak najbardziej sprostał zadaniu tłumacza i „Zapiski w wiejskim kalendarzu” czyta się z wielką przyjemnością ulegając, przewijającej się przez cały czas, melancholii i zadumie.

Na zakończenie czuję się w obowiązku parę słów poświęcić graficznemu opracowaniu książki. W odróżnieniu od wielu wydań bajkowych z tej pozycji Warszawa, Wydawnictwo Poznańskie stara się, aby książki wychodzące z jego oficyny miały niebanalną, ciekawą obwolutę oraz interesujący układ tekstu. W przypadku „Zapisków” redakcja techniczna spisała się na przysłowiową „piątkę”.

E. I.
*) Erwin Strittmatter: ZAPISKI W WIEJSKIM KALENDARZU. Wyd. Poznańskie, 1971 r. Stron 166. Cena 13 zł.

Przeszłość i terażniejszość

Postać wybitnego badacza dziejów kultury i prawa Wacława Aleksandra Maciejewskiego (1792—1883) od ponad stu lat budzi ostre kontrowersje. Z jednej strony wiadomo o nim, że był człowiekiem słabego charakteru, usłużnie nadskakiwał władzom zaborczym, „brał natchnienie od wielkorządcy warszawskiego Paskiewicza” i często wyciągał rękę do carskiej kieszki oferując różne usługi. Mickiewicz w swych paryskich wykładach zaliczył go, wraz z orientalistą Józefem Sękowskim i panslawistą Adamem Gurowskim, do „grupy zdradców pisarzy (...) pisarzy dopuszczających się zdrady głównej, którzy zapierają się wiary ojczyźnej, przeszłości ojczyźnej, usiłują o czernić dzieje, obcyżać Polaki, znieważać charakter narodowy, ażeby tylko uniknąć prześladowania niszczącego tych, co służą idei polskiej, aby pozyskać łaski ciemięzców”. Pogląd, że to, co czynił Maciejewski było zdradą narodową, podzielano wielu.

Z drugiej strony, w tym samym czasie funkcjonowały przecież całkiem odmienne opinie o nim. Wypowiadał się o nim żywcem wiekoteran Wielkiej Emigracji, historyk Leonard Chodźko, w podobnym tonie pisał demokraty Jan Nepomucen Janowski i wielu innych. O tym, że sformułowane niedawno przez R. Walskiego zdanie, jakoby dzieła Maciejewskiego były przyjmowane surowo w kregach polskiej i obcej demokracji polowej XIX wieku, jest nieścisłe, świadczy entuzjazm, z jakim wypowiadali się o nich tacy ludzie jak E. Dembowski, czy działacze emigracyjnego Towarzystwa Demokratycznego Polskiego. O postawie zaś europejskiej demokracji niechaj świadczy życiowa dla prac Maciejewskiego wzmianka w liście Karola Marksa do Fryderyka Engelsa z 1856 roku, gdzie został on zestawiony z najwybitniejszym historykiem polskim tego czasu, Joachime Lelewalem.

Splot tych i innych jeszcze sprzecznych, wykluczających się wzajemnie są-

dów starał się rozwiązać Juliusz Bardach w ogłoszonej niedawno rozprawie pt.: „Wacław Aleksander Maciejewski i jego współczesni”, wydanej w ramach „Monografii z dziejów nauki i techniki” (1971). Autor zastrzegł się, że nie chodzi mu

o twórczość naukową, snop ostrego świata. I chociaż J. Bardach nie pragnął tłuma- czyć swego „bohatera” (o wiele niebohaterskich skądinąd cechach), to przecież w toku badań nie udało mu się w pełni tego uniknąć; w każdym razie z kart jego książki jawi się Maciej-

wątpliwym karierowiczem, przeciwieństwo nauka była jego ogromną pasją. Inna sprawa, że oportunizm i serwilizm niejednokrotnie wkraczał także do jego badawczego warsztatu, znajdując wyraz w wypowiedziach przezeń poglądach, które niejednokrotnie tak szokowały współczesnych. Ale jednocześnie był Maciejewski w swych badaniach w jakimś sensie kontynuatorem koncepcji, głoszonych przez Lelewela, przede wszystkim co do ujmowania procesów społecznych w przeszłości, nie zaś w odniesieniu do ogólnej koncepcji dziejów narodowych. „Patriotyzmowi historycznemu Lelewela, przeznaczającemu szczególną rolę w dziejach narodowi polskiemu, widzimy specjalne jego posłannictwo jako nosiciela idei demokratycznej, przeciwstawiał W. A. Maciejewski — zwłaszcza od końca lat 30-tych XIX w. — ideaty braterstwa i jedności słowiańskiej, choć nie posunął się nigdy w swych publikacjach, jak Henryk Rzewuski czy Michał Grabowski, do negacji polskiego bytu narodowego”. Ugodowe słowianofilstwo, któremu ho-

lował, nie doprowadziło go jednak — zdaniem J. Bardacha — „do panslawizmu w jego panrosyjskiej postaci”; historyk zatrzymał się jakby w pół drogi, „a pod koniec życia cofnął się z powrotem na pozycje, które łatwiej nam zaakceptować”. Specjaliści — historycy historiografii, prawa, literatury, badacze dziejów politycznych — będą się spierać z J. Bardachem co do tych czy innych interpretacji. Dyskusje, jakie już dziś obudziła jego książka, przyczynią się do pogłębienia naszej wiedzy o Maciejewskim, o jego życiu i dziele. Bardziej wnikliwie spojrzenie na tę postać, jakie zaprezentował J. Bardach, chociaż nie rozstrzygnęło kontrowersji, bo niesposób było tego uczynić, przecież prowadzi do lepszego zrozumienia skomplikowanych problemów i bardziej adekwatnego określenia miejsca, jakie zajął Maciejewski w dziejach nauki polskiej. A że — choć to czy owo staramy się zrozumieć — nie staje się postacią sympatyczną, o to możemy mieć pretensje przede wszystkim do niego samego.

JOZEF GRZELAK

Sporu o W.A. Maciejewskiego ciąg dalszy

o „wybielanie” Maciejewskiego, a jedynie o ukazanie jego życia i dzieła w szerszym kontekście relacji ze środowiskami naukowymi i społecznymi ówczesnymi polskimi jego czasów. Rozważania swoje oparł o szeroką podstawę niewyżyskanych dotąd źródeł, z których badania najciekawsze okazały się ocalone w zbiorach S. Mitznera fragmenty dokumentarnej spuścizny uczonego, rzucające na jego osobę i

jowski postacią mało sympatyczną, ale przecież nie taką, jak sądził o nim Mickiewicz. „Był on człowiekiem niezmordowanej pracowitości, który wszystko sobie samemu zawdzięczał”, był self-made man'em, dążącym u- porczywie i świadomie do społecznego awansu, troszczącym się o swą karierę i dobrą materialne w sposób, który — jak słusznie zauważa J. Bardach — musi nas razić. Ale choć był nie-

W połowie stycznia 1945 r. z przyczółka sandomierskiego ruszyły do ofensywy zimowej radzieckiej wojska, wchodzące w skład I Frontu Ukraińskiego. W krwawych bojach z hitlerowcami rozbiły kolejne zapory w systemie obrony przeciwnika i parły do przodu niczym taran. Na czele tych wojsk szła pięć uderzeniowa Frontu — 3 armia pancerna gwardii gen. płk. P. Rybalki.

W gorących dniach styczniowych, kiedy do Warty, kolejnej poważnej zapory w systemie hitlerowskiej obrony, było jeszcze daleko, w dowództwie armii opracowano plan wdarcia się na tyły wroga i ujęcia przeprawy na tej rzece. Zadanie to poruczono specjalnej grupie zwiadowczej. W jej skład weszły 3 czołgi T-34, 4 transportery opancerzone i 10 motocyklistów. Miała się ona wdrzeć na tyły hitlerowskich wojsk, zdobyć ważny strategicznie most na Warcie w Krzeczowie i utrzymać przyczółek mostowy do czasu nadejścia głównych sił armii.

W niewielkim domku na skraju Radomska ułokował się sztab radzieckiego zwiadu pancernego. Nad mapą sztabową śledził w głębokiej zadumie dowódca grupy pułkownik Krzywicki. Zdawał on sobie doskonale sprawę ze znaczenia rajdu grupy zwiadowczej na tyły wroga i uświadamiał sobie zarazem, że przed zwiadowcami stałe zadanie bardzo ciężkie i bardzo niebezpieczne. Pułkownik stanął przy oknie, zapalił kolejnego papierosa, zamyslił się głęboko. Miał nad czym myśleć. Wiedział bowiem, że jeżeli most nie zostanie zdobyty, zajdzie wówczas potrzeba przepawy przez Wartę na łódkach, tratwach i pontonach, trzeba będzie też czekać na sprzęt przepawowy, pozostawiony daleko w tyłu. To z kolei osłabił impet uderzenia, da wychnienie Niemcom, pozwoli im ochłonąć, zorganizować obronę. Forsowanie zaś Warty przy zorganizowanej obronie nieprzyjaciela, to z kolei setki, jeśli nie tysiące poległych. Ileż to krwi żołnierskiej przelano na brzegach rzek, na Dnieprze, na przyczółku sandomierskim.

Pułkownik Krzywicki doskonale znał swoich żołnierzy, wiedział, że może liczyć na ich męstwo, odwagę i wytrwałość. Grupa powinna dowodzić odważnie i inteligentnie. Kogo wyznaczyć? Może Czerniakowa? Tak! To dobry, o dużym doświadczeniu oficer. Swe zalety wykazał w bojach pod Stalingradem i Orłem. A kogo wyznaczyć na jego zastępcę? Wybór padł na Bohatera Związku Radzieckiego, wypróbowanego w licznych bojach A. Krawca. Wzwał oba oficerów, zakomunikował im swą decyzję, przydzielił zadanie bojowe do wykonania. Czerniakow i Krawiec osobiście czuwać nad przygotowaniem ludzi i sprzętu do wykonania tego trudnego i odpowiedzialnego zadania. Wieczorem, 17 stycznia pułkownik Krzywicki serdecznie uściślnął ręce żołnierzom i życzył im szczęśliwego wykonania zadania bojowego.

Kolumna wyruszyła. Początkowo zwiadowcy posuwali się polnymi drogami i leśnymi traktami. W dali widać było liczne światła pojazdów: to wyczuwające się oddziały niemieckie, które zostały rozbite w dotychczasowych starciach z wojskami radzieckimi. Na szlaku zwiadow-

ców nie było wroga i kapitan Czerniakow rozkazał zwiększyć szybkość marszu. Nagle przed czołgistami ukazała się droga bita. Ta sama droga, po której wycyfrowali się Niemcy. Czerniakow podjął śmiały decyzję: wylaczyć światła reflektorów i wyjść kolumną na główną drogę. Decyzja bardzo ryzykowana, ale jeżeli przedsięwzięcie się uda, zwiadowcy zyskają na szybkości i zaskoczeniu. Ruszają więc w ślad za niemieckimi kolumnami, za nimi posuwają się dalsze kolumny niemieckie... Wkrótce w świetle reflektorów ujrzano budynki miasteczka.

— Wyciąś światła — rozkazał Czerniakow.

lewy brzeg rzeki umocniony jest tranzejami, gdzie ustawione są karabiny maszynowe i bateria armat. Na lewo od mostu, w kamiennym bunkrze, znajduje się wartownia, a obok niej stoją samochody pancerne, miotacze min oraz 8 motocyklistów. Po rozpoznaniu postanowiono zaatakować most siłami motocyklistów zwiadu, dowodzonych przez Maslennikowa. Akcję wykonano błyskawicznie i bardzo sprawnie: zaskoczonych wartowników zlikwidowano, a wartownię obrzucono granatami. W tym samym czasie inna grupa motocyklistów zniszczyła obsługę baterii armat. Czołg dowodzony przez Taksztanowa i transporter

Jednak niemiecka piechota, wspierana przez czołgi, ponowiła atak. Do mostu, pod osłoną ognia artyleryjskiego i czołgów, zbliżyła się szarżelona masa piechoty. Uderzenie było bardzo silne. Na rozkaz lejtnanta Kolliedaja, kierowca czołgu — Ziganszyn, w najbardziej krytycznym momencie obrony skierował swój czołg na wroga. Z impetem wpadł na atakujących Niemców. Mimo ognia wszystkich rodzajów broni, odważny czołgista parł naprzód, miazdząc gąsienicami czołgu niemiecką piechotę, siał wśród niej spustoszenie ogniem karabinów maszynowych. Nagle czołg, trafiony pięścią pancerną, zaczął płonąć. Wysoko-czyli z niego: strzelec obsługi karabinu maszynowego Dwójglazow i strzelec wieżowy Prokofiew. Kolliedaj wyciągnął z płonącej maszyny ciężką rannego Woronina. Nie opuścił czołgu tylko Rachim Ziganszyn. Dusząc się od dymu poderwał maszynę do przodu, by na pełnym biegu ugasić płomień. Nie udało się. Skierował więc płonący czołg w gaszący zgrupowanych pojazdów wroga. Szaląc swym płonącym czołgiem w jądrze zgrupowania hitlerowskich sił, niczym gigantyczny demon zemsty, płonąca maszyna zmiała na swej drodze wszystko, co stało na przeszkodzie, ludzi, samochody, sprzęt bojowy. W dymiacym cielsku swego czołgu poniósł śmierć na brzegu polskiej rzeki bohaterski żołnierz radziecki. Kolejny atak Niemców został krwawo odparty. Nie wytrzymali desperackiego kontrataku radzieckich zwiadowców.

Jednak sytuacja na moście stawała się coraz bardziej niebezpieczna. Niemcy za wszelką cenę chcieli się przebić na prawy brzeg Warty. Zdawali sobie sprawę z faktu, że z tyłu nacierała główna siła radziecka, stąd ich desperackie, wciąż ponawiane ataki na most. W walkach przereźdzały się szeregi zwiadowców, czas upływał, a pomoc nie nadchodziła. Kończyły się zapasy amunicji. Tymczasem hitlerowcy szykowali się do kolejnego ataku na garstkę obrońców mostu. Sytuacja stawała się tragiczna. Dla zaryglowanych na moście Niemców nadeszła pomoc od strony Wielunia. Do ataku szykowało się 5 „Tygrysów”, 2 „Ferdynandy” i inne czołgi. Nastąpił najbardziej krytyczny moment w obronie mostu. W tej sytuacji kapitan Czerniakow postanowił podminować most, aby nie dostał się w ręce wroga. Zwiadowca Maslennikow podłożył miny. W tym momencie na tyłach wroga zagrzmiąły działa, usłyszano ryk motorów i ujrzano wzbijające się w powietrze tumany śniegu. Zza lasu ukazały się radzieckie czołgi, działa samobieżne i transportery. Pierwsze czołgi przeparały się na lewy brzeg rzeki. Kapitan Czerniakow wybiegł na most, aby przeprowadzić czołgi przez zamknięty most. W tym momencie skośiła go seria z karabinu maszynowego wroga. Bohater Warty, który przez wiele długich godzin tak bohatersko odparł ataki przeważających sił wroga, zginął w momencie, gdy bój już wycesał. Ciężko rannego dowódcę przewieziono transporterem do punktu sanitarnego w Działoszynie. Niestety, zmarł z odniesionych ran. Bohater Stalingradu, Kurska, Orła i przyczółka sandomierskiego oddał młode życie w walce o wyzwolenie spod jarzma hitlerowskiego piekła, nadwarciańskiej polskiej ziemi. Śmierć jego i jego bohaterskich towarzyszy otworzyła radzieckiej armii pancerną drogę na Wieluń, Kluczbork i Wrocław.

TADEUSZ OLEJNIK

GDY BRZEGI WARTY KRWIĄ SPLYNĘŁY

Nie zmniejszając szybkości, radzieccy zwiadowcy posuwali się naprzód obok zgromadzonych w miasteczku niemieckich kolumn. Wszyscy, bez jednego strzału, przejechali obok zgrupowania hitlerowskich kolumn. Nagle na ostatnie pojazdy radzieckiej grupy zwiadowczej Niemcy otworzyli ogień. Riposta była natychmiastowa. Czołgi Kolliedaja, Taksztanowa, Balsagina oraz transportery Karastyliowa i Selemieniewa ruszyły do ataku. Bój nie trwał długo. Zupełnie zaskoczeni Niemcy zostali rozbici i rozproszeni. Grupa ruszyła dalej, pozostawiając za sobą palące się czołgi i samochody wroga. Wkrótce potem kolumna wjechała w wąskie uliczki kolejnego miasteczka. Zgrupowane tu były poważne siły pancerne i artyleria wroga. Znowu rozgorzał zacięty bój. Tym razem zwiadowcy nie zdążyli rozbić Niemców i wycofali się do lasu. Nie można było wdać się w dłuższy bój.

Po przegrupowaniu zwiad kontynuował marsz polnymi drogami i leśnymi traktami w kierunku na Mokre i Broników. Późną nocą dotarł do linii kolejowej Herby-Gdynia, a wkrótce potem osiągnął skraj małej wioski Krzeczów. Cel tego kolejnego rajdu. Na rozkaz Maslennikowa motocyklistów — Nowikow, Krawicki i Czysy przeprowadzili zwiad okolic mostu. Stwierdzono, że pilnuje go trzech żołnierzy uzbrojonych w automaty, zaś

Biereziowa zaatakowały wartownię. Za nimi rzucił do walki Czerniakow pozostałe siły grupy zwiadowczej. Po krótkiej walce most został zdobyty i cały przyległy teren oczyszczony z wroga. Teraz należało most utrzymać do nadejścia głównych sił wojsk radzieckich.

Czerniakow z pośpiechem przystąpił do organizowania obrony mostu. Zdobytą baterię armat przygotowano do pełnej gotowości bojowej. Starszy sierżant Selemieniew skompletował zdobyty sprzęt i przejął dowództwo nad miotaczami min. Radiotelegrafista Woronin starał się na wszelką cenę powiadomić dowództwo sztabu o zdobyciu mostu. Niestety, radiostacja została uszkodzona.

O godzinie 4 nad ranem od strony Radomska ukazała się pierwsza hitlerowska kolumna. Przyjęto ją ogniem radzieckich czołgów i transporterów. Starszy sierżant Rachim Ziganszyn skierował swój czołg na samochody i armaty wroga. Niemcy rozproszyli się. Pierwszy, dość anemiczny atak na most został odparty. Przez pewien czas panowała cisza. Wkrótce jednak oparły się nowe kolumny wojsk niemieckich. Na przedzie szły dwa „Tygrysy”, za nimi trzy samobieżne działa „Ferdynandy”. Rozgorzał ciężki bój. Kontrataki radzieckich czołgów Kolliedaja i Taksztanowa wspierały działa lejtnanta Pasiecznika. I drugi atak został odparty. Znowu nastąpiła chwilowa cisza. Wkrótce

ZDZISŁAW ŻYGULSKI

LISTY GABRIELI ZAPOLSKIEJ

Jest ich dużo, bardzo dużo. W dwóch opasłych tomach zamieszczono ich 1084, a nie są to jeszcze wszystkie, dziś znane i dostępne. Wydawcy opuszcili listy bez istotnego znaczenia, np. zawierające kliniczne relacje o chorobach autorki, też krótkie „pisma”, często nie datowane, a zawierające zaproszenia lub doraźne zawiadomienia, listy pisane z prośbami o honorarium lub z podziękowaniem za jego otrzymanie.

Pierwsze z ogłoszonych tu listów pochodzą z początków lat osiemdziesiątych, ostatnie pisane były na rok przed śmiercią autorki zmarłej w grudniu 1921. W sumie obejmują tedy okres lat czterdziestu i na ich podstawie można wytworzyć sobie dokładny obraz jej życia. Lektura ta jest, jak we wstępie, „ze wszech miar zajmująca, ale i trudna, wymagająca pewnego przygotowa-

nia i szczególnego krytycyzmu. Trudno bowiem spotkać zbiór listów tak niejednorodnych, tak w swym bogactwie i różnorodności zwodniczy, tak lawirujący ciągle między prawdą a kłamstwem, szczerością i udaniem, wyrachowaniem i naiwnością”. (I. c. I str. 5/6). I w uzupełnieniu tych słów powiedzieć można, że lektura ich jest nie tylko trudna, ale i przykra, przemawia z nich bowiem do czytelnika kobieta historyczna, przeważliwa, impulsywna, niezmiernie zarozumiała i próżna, zawistna i złośliwa.

Zycie Gabrieli Zapolskiej przebiegało burzliwie i już wcześniej uległo wykołaceniu. Urodzona w roku 1857 na Wolyń, była córką ziemianina, Wincentego Korwin — Piotrowskiego i Józefy z Karskiej, byłej tancerki baletu warszawskiego. Nauki pobierała w zakładzie Sacre Coeur we Lwowie. W roku 1875 znalazła się w Warszawie, a w roku następ-

nym poślubiła rosyjskiego oficera, Konstantego Snieżko-Błockiego. Małżeństwo to było od razu bardzo nieszczęśliwe i zażyło nader ujemnie na dalszych losach pisarki. Pan Konstanty Snieżko-Błocki był bowiem cynicznym bulaką, karcizarem i utracuzsem. Zaniedbywał swą młodą żonę i w krótkim czasie roztrwonil jej posąg. Po trzech latach małżonkowie rozeszli się. Stosunki Gabrieli z rodziną były napięte. Młoda kobieta, niemal pozbawiona środków do życia, postanowiła jednak iść śmiało własną drogą przez życie. Osiedliła się wtedy w Warszawie i zaczęła występować jako aktorka w zespole amatorskim. Poznaje powieściopisarza, Mariana Gawalewicza, nawiązuje z nim romanse i niebawem zachodzi w ciążę. Jej sytuacja staje się krytyczna, a osobę otacza atmosfera skandalu. Wlecie 1881 powiła w Wiedniu córeczkę, która wkrótce umarła. Gawalewicz nie troszczył się o nią i pozostawił własnemu losowi, a w dodatku przedstawił ją w bardzo ujemnym świetle w swej powieści pt. „Cma”. Mimo ciężkiego położenia Gabriela pracuje dalej i ogłasza swoją pierwszą nowelę „Jeden dzień z życia róży”. Przybrała teraz pseudonim Zapolska, który stał się odąd jej nazwiskiem.

Od roku 1882 występuje na licznych scenach, przeważnie prowincjonalnych, ale gra też

w Petersburgu, w Krakowie, i we Lwowie. W roku 1883 ogłasza swą pierwszą, naturalistyczną powieść pt. „Malatka”. W tym czasie zaopiekował się nią redaktor Adam Wiślicki, wydawca warszawskiego „Przeglądu Tygodniowego”. Był to chyba jej jedyny szczerzy przyjaciel, któremu dużo zawdzięczała.

W roku 1885 ukazała się jej druga naturalistyczna powieść „Kaska Kariatyda”, tragiczne dzieje biednej lwowskiej służącej. Nie omiają jej jednak różne przykrości. W tym czasie uwikłała się bowiem w procesy przeciw redaktorowi Janowi Popławskiemu, który pomawiał ją o plagiat i przeciw wybitnemu publicyście i pisarzowi Aleksandrowi Świętochowskiemu. Tego ostatniego ściagała swą nienawiścią przez całe lata i groziła, że osmaga go publicznie szpicerką. Zlamana niepotwodziłami próbowała popełnić samobójstwo w hotelu w Piotrkowie, została jednak odratowana.

W roku 1880 wyjeżdża — prawdopodobnie pod naciskiem rodziny — do Paryża i osiedla się tam na lat sześć. Paryż stanowi osobną epokę w jej życiu. I tam rozwinęła żywą działalność jako pisarka, publicystka i aktorka. Aby zapewnić sobie jaką taką egzystencję, została utrzymaną finansysty Okszy-Orzechowskiego, który płacił jej po 200 franków miesięcznie. (W swych listach nazywa go „Sta-

ry”). I na paryskim bruku wytworzyła się koło niej podejrzana atmosfera i kursują złośliwe plotki.

W „Przeglądzie Tygodniowym” zamieszczała swe korespondencje pt. „Listy paryskie”, przekładała dla teatrów warszawskich sztuki francuskie, napisała też cykl nowel pt. „Menażeria ludzka”. W tym czasie powstała też obszerne powieść pt. „Janka”, do której przykładała wielką wagę.

W roku 1890 poznała agenta handlowego, ukraińskiego pochodzenia, Stefana Laurysiewicz i została jego kochanką. Dzieciła ich duża różnica wieku Laurysiewicz był bowiem od niej o dziewięć lat młodszy. Stosunek ich ciągnął się przez lat kilka i przechodził różne fazy. Przez czas jakiś kochankowie nosili się z zamiarem zawarcia małżeństwa, ale napotykali na różne trudności, aż wreszcie doszło do ostatecznego zerwania. W tym czasie Zapolska zbliżyła się do ówczesnej awangardowej sceny „Theatre Libre” Antoina i występowała w jego zespole przekonana, że niebawem stanie się aktorką o europejskim rozgłosie. Nadzieje te jednak nie spełniły się. Po zerwaniu z Laurysiewiczem snuta nowe plany małżeńskie, tym razem z malarzem francuskim Paulem Sérusierem, z którym spędziła lato 1894 w miejscowości Chateau-neuf-du-Faou, ale i ten zamiar nie doszedł do skutku. Zniewolona

opuszcza ostatecznie Paryż z końcem maja 1895 i przybywa do Warszawy. Gra znowu na różnych scenach. W roku 1897 wystąpiła w warszawskim teatryku „Eldorado” swą żydowską sztukę „Małke Szwarcenkopff”, która zdobywa dużą popularność. Jeszcze większe powodzenie osiągnął „Tament”, dramat osnuty na tle przesładowania młodzieży polskiej w Królestwie (1898). Przenosi się teraz do Krakowa i zostaje zaangażowana do Teatru Miejskiego przez dyrektora Tadeusza Pawlikowskiego, z którym zresztą będzie przez lata całe prowadziła zawziętą wojnę podjazdową. W Krakowie wiąże się niebawem stosunkiem miłym z Ludwikiem Szczepańskim, poetą i publicystą, redaktorem „Zycia” i innych czasopism. Po zerwaniu z nim nawiązuje długotrwały romanse z miodnym, biednym malarzem, Stanisławem Janowskim. W roku 1899 gra we Lwowie i w Krynicy w teatrze Ludwika Hellera, ale Pawlikowski objawszy w roku 1900 nowy Teatr Miejski we Lwowie, nie angażuje jej i przecina tym razem na zawsze jej aktorską karierę. Zapolska pozostała jednak na razie we Lwowie i wstąpiwszy do redakcji „Słowa Polskiego”, działała jako publicystka i recenzentka.

Mimo sprzeciwów swej rodziny Janowski poślubił ją w listopadzie 1901, po czym oboje przenieśli się czasowo do Kra-

„Idiota” czyli dyskusja o adaptacji

Na temat adaptacji teatralnych swoich dzieł wypowiedział się Dostojewski bezpośrednio i to negatywnie. W liście do Obolenskiego, który zwrócił się do pisarza o zgodę na adaptację sceniczną jednej z jego powieści, pisał (cytując za wydaniem rosyjskim dzieł Dostojewskiego z 1934 r., tom III, str. 20):

„W sztuce tkwi jakaś tajemnica, która powoduje, że forma epicka nigdy nie znajduje dla siebie odpowiednika w formie dramatycznej. Jestem skłonny wierzyć, że dla różnych rodzajów sztuki istnieje odpowiedni rząd reguł poetyckich, powodujący, że ta sama myśl nie może być nigdy wyrażona w innej, nie odpowiadającej jej formie”.

Po tym zdecydowanym stwierdzeniu Dostojewski zgodził się jednak nieco swój negatywny sąd:

„Rzecz będzie się miała inaczej, jeżeli maksymalnie przeprocjuje pan i zmieni powieść, zachowując dla przeróbki na dramat jedynie którzyś z epizodów, lub wykorzysta pan podstawową ideę, zmieniając całkowicie treść”.

Tyle Dostojewski. Jak widać, miał pełną świadomość różnic strukturalnych dzielących dzieło literackie od dzieła sztuki teatralnej. To pierwsze realizuje się na nieczym (przynajmniej teoretycznie) nie ograniczonym polu wyobraźni czytelnika, drugie zaś stanowi redukcję do zmysłowo sprawdzalnego, ukonkretnionego obrazu w zamkniętej przestrzeni scenicznej. Przenoszenie na scenę powieści musi odbywać się kosztem tej ostatniej, pozostaje jedynie dokonanie rachunku strat i zysków, by stwierdzić opłacalność przedsięwzięcia.

Dostojewski z dawien dawna kuł adaptatorów, reżyserów teatralnych i filmowych. Dziś, gdy minęło właśnie 150 lat od jego urodzin, a 90 — od śmierci, fascynacja jego piarstwem nabiera szczególnego smaku. Z niej rodzą się kolejne próby uateatralnienia Dostojewskiego, jak chociażby wy-

stawiana aktualnie przez dwa teatry w Polsce adaptacja „Biesów”, dokonana w 1959 roku w Théâtre Antoine w Paryżu przez Alberta Camusa.

Literaturze współczesnej jest Dostojewski szczególnie bliski. Uważa się go za jej najwcześniejszego prekursora. Pozostając pozornie w konwencji realistycznej, draży on naturę ludzką na takiej głębokości, gdzie zanika obiegowa dosłowność rzeczy, przewartościowość znaczenia i hierarchie. W odczytaniu intencji, jakimi kierują się jego bohaterowie, tradycyjna logika i psychologia staje się bezużyteczna jak fizyka newtonowska przy badaniu przestrzeni kosmicznych.

W kreowanym przez Dostojewskiego okrutnym obrazie świata, w jego zawężeniach i mrocznych zakamarkach, w niemożliwości realizacji szczytnych dążeń i konsekwentnych postaw moralnych — odnajduje człowiek współczesny tyle tonów współbrzmiających z jego gorzkimi doświadczeniami, że piarstwo tego nie traktuje jako dokumentu przeszłości. To dzień dzisiejszy przemawia z kart powieści pisarza rosyjskiego.

Stanisław Brejdygant, reżyser i aktor wiary formule teatru intelektualnego, nie po raz pierwszy już daje wyraz swej szczerej fascynacji Dostojewskim. Nie sięga przy tym po mocno już wyeksploatowaną sceniczną „Zbrodnię i karę”, czy „Braci Karamazow”, lecz po „Idiota”. Motywując ten kierunek swej pasji adaptatorskiej, pisze Brejdygant w programie teatralnym, że Dostojewski „jest piarstwem „par excellence dramatem”. Twierdzi dalej, iż „jego dialog powieściowy” i rozwiązania „sytuacyjne są znakomitym materiałem dramaturgicznym”.

W tym miejscu Brejdygant upraszcza trochę sprawę. To fakt, że akcja powieści Dostojewskiego zwykła układać się w szeregi dużych scen niemal teatralnych (wspomnijmy choćby pełną dramatycznych napięć scenę w celi starca Zosimy w „Braciach Karamazow”). Ale to pozorna teatralność, wymagająca jakiegoś teatru idealnego, który nie narzucałby się widzowi arbitralnym kształtem

scenicznych rozwiązań. Każda adaptacja teatralna powieści Dostojewskiego będzie od niej uboższa, zbyt cielesna i behawiorystyczna.

Tak jest i z teatralnym „Idiotą”, choć reżyser wypracowuje akcję z realistycznego kontekstu, operując ciemnym tłem i reflektorami przebijającymi tę ciemność niby sondy zapuszczone w mroki psychiki ludzkiej. Zbyt wiele uwagi musi jednak przy tym poświęcić przekazowi skomplikowanych treści powieściowych, których nadmiar przytłacza miejscami przedstawienie w Teatrze Nowym.

Broni się przed tym Brejdygant eliminowaniem niektórych wątków, lub ich upraszczaniem. Nie zawsze jest jednak dość konsekwentny w skrótach, pozostawiając w tekście ulamki pousuwanych wątków. Tak ma się rzecz np. z opowiadaniem o umierającym na gruźlicę Hipolitem (w powieści jest to wątek bardzo rozbudowany), lub z relacją z gry, jaką Ferdyszczenko przeprowadził z generałem Japanczynem i Tockim, polegającej na licytowaniu się popelnionymi w życiu nikczemnościami.

Moje wadzenie się z Brejdygantem jako adaptatorem może wywołać wrażenie, że źle oceniam przedstawienie w Teatrze Nowym. Nic bliźszego! Polemizuję z reżyserem z pozycji pełnej szacunku i uznania dla jego ambitnego zamierzenia i niemiejskiej realizacji. Uważam natomiast, że w konfrontacji z piarstwem Dostojewskiego mógł tylko przegrać. To honorowa przegrana.

Trudno przecenić ciężar, jaki spoczął na barkach głównych wykonawców, a przede wszystkim na odtwórcy roli księcia Myszki-na — Andrzeju Mayu — i Parfięna Rogożyńca — Bogusławie Sochnackim.

Andrzej May, skoncentrowany psychicznie i kontrolujący jakby każde słowo wypowiedziane i najdrobniejszy ruch, ma do odnotowania kolejne znaczące dokonania aktorskie. Postać „bożego głupca”, w jej naiwnej prostocie i chorobliwym poszukiwaniu prawdy absolutnej choćby za cenę unieszczęśliwienia innych, tworzy May precyzyjnie, zróżnicowanymi środkami aktorskimi. Może tylko chwilami niepotrzebnie dominuje „niegodny” gest romantycznego bohatera, do którego „księciu Myszkińowi” tak przeciwi daleko!

Wysokim kunsztem aktorskim błysnął Bogusław Sochnacki, ukazując pasmo udręceń, jakim poddawany jest Rogożyn — jedna z mimowolnych ofiar Myszki-na. Aktorowi udało się wydobyć plastycznie złożoność uczuć, jakimi targany jest Rogożyn, i odpowiednio nasilać ekspresję aż po wstrzasające wyciszenie końcowe. To duża rola Sochnackiego!

Izabella Piętkowska, piękna w roli kolejnej ofiary — Nastazii Filipownej, włożyła wiele wysiłku,

by godnie nadać za wiodącą dwójką aktorów. Nadużywa jednak przy tym chyba mimiki swej i tak wyrazistej twarzy.

Rolę Aglaji zagrała z prostotą Ilona Bartosińska. Z epizodycznych postaci wyróżniał się Ryszard Dembiński (Lebiediew) i Zbigniew Nawrocki (Ferdyszczenko).

Na przedstawienie „Idiota” zwrócić chciałoby się uwagę

wszystkich miłośników dobrego, ambitnego teatru!

*) Teatr Nowy: Fiodor Dostojewski „Idiota”, sztuka w II częściach, adaptacja sceniczną Stanisława Brejdyganta wg przekładu Jerzego Jędrzejewicza; reżyseria — S. Brejdygant; scenografia — Henri Poulain; muzyka — Ryszard Gardo; asystent reżysera — Ryszard Dembiński; asystent scenografa — Ewa Grajak.



Fot. W. Parys

kowa. Po dwóch latach Janowski opuścił ją, jednak po pewnym czasie znów do niej powrócił. Zapolska choruje w tych latach niemal bez przerwy i leczy się — bez skutku — w różnych sanatoriach w kraju i za granicą, u dra Ebersa na Lido i w Krynicy, u Jekelsa w Bystrzy, u Tarnawskiego w Kosowie. Przyrodolecznicy Zakład tegoż wyśmiała później w komedynie pt. „Asystent”.

W roku 1906 święcił swój wielki triumf sceniczny „Moralność pani Dulskiej”. Nabywa, razem z mężem, w Krzywczykach pod Lworem wille „Skiz”, tak nazwaną od tytułu jednej z jej komedii. Stosunki jej pogarszają się jednak. Janowski odsuwa się od niej ostatecznie. Zapolska sprzedaje swą wille i zamieszkuje we Lwowie. Tu staje ją pierwsza wojna światowa, chora i opuszczona. Tylko niewiele osób interesuje się nią jeszcze. Ostatnie lata życia spędziła w ciemnym, dusznym, prawie nigdy nie wietrzoną pokojem, na pół oślepa, fizycznie i duchowo wyczerpana. Tu też zmarła dnia 17 grudnia 1921 roku.

Trzon korespondencji ogłoszonej przez p. Linowską stanowią cztery duże zespoły listów. Są to listy do Wiślickiego, do Laurysiewicza, do Szczepańskiego, i do Janowskiego. Maja przeważnie charakter intymny. Temperament autorki, jej ogromna wrażliwość i gwałtowność usposobienia wyładowały się tu

bez żadnych hamulców. Odbijają się w nich też jaskrawe sprzeczności tkwiące w jej naturze. I tak w swych utworach przedstawiała Zapolska mężczyzna z reguły w bardzo ujemnym świetle. Są to albo egoistyczni brutale oszukujący kobiety, albo, dla kontrastu, głupi, niedołągi i pantoflarze. Ale w życiu osobistym jej stosunek do mężczyzny kształtował się inaczej. Przyznaje sama, że nie może obejść się bez nich, szuka ich ciągle, mizdrzy się do nich, szcziebioce, czuli i domaga się nawzajem ciągłych czułości, a nierazko też prezentów i pieniędzy.

W jej utworach kobiety są często pokrzywdzone przez los, przez mężczyzn, przez niesprawiedliwe stosunki społeczne. Myliłby się jednak ten, kto by przypuszczał, że Zapolska wystąpi w obronie praw kobiety, że domagać się będzie jej równouprawnienia. Przeciwnie, wyśmiewa emancytantki, a ich dążenia uważa za głupie i szkodziwe. (I. c. I str. 143(4)). Takich sprzeczności spotykamy wyżej.

Osobny ustęp warto poświęcić jej listom z Paryża. Nie czuła się tam dobrze. Paryż nie fascynował jej, jak tytu innych. „Paryż jest głupi i pasywny” — pisze. — „Wiesz jak nienawidzę Francuzów” — mówi w innym liście. Utrzymuje kontakty z ówczesną paryską Polonią, z tzw. Glasjerą, ale nie szczech jej wymyślań. Cie-

szą ją kłopoty rodaków i gąfy przez nich popelniane. „Pekalam ze śmiechu” — mówi raz po raz. A po kilku latach przedstawiała Glasjerę w swej powieści „Zaszumi las”, przeobrażonej następnie na scenę. W Paryżu nudziła się często, szukała więc śmieszyszch wrażeń. I tak spędziła raz całą noc na placu Roquette, aby rano zobaczyć egzekucję trojga zbrodniarzy, jednej kobiety i dwóch mężczyzn. Podniecona tym widokiem pisze do Laurysiewicza: „Kobieta gilotynowana! Szyk! Co?” (I. c. I str. 202). Napisała też reportaż z tej egzekucji, którego atoll redukcja „Przeglądu Tygodniowego” nie zamieściła. Dla emoci bierze też udział w balu wariatów w szpitalu Salpetiere, który wywiera na niej wstrząsające wrażenie i odwiedza koszmarnie przytulisko noclegowe dla bezdomnych.

W Paryżu nawiązała, jak to już wspomniano, kontakt z „Theatre Libre” Antoine i próbowała swych sił na jego deskach. Opowiadała przy tym szeroko i z widoczną przesadą o swych sukcesach na tej scenie, ale o samym Antoine i jego współpracownikach wyrażała się lekceważąco. Jedynym chyba człowiekiem, który budził w Paryżu jej respekt, był — poza Zolą — ów malarz Seruier, za którego zamierzała wyjść za mąż.

Paryż nazywała często „targowiskiem próżności!” niepomna,

że sama była kobietą próżną aż do śmieszności. Jej zarozumiałstwo przechodziło często w megalomanię. Każdy swój utwor uważała za arcydzieło. Jej staby, dziś zapomniane dramaty „Jojne Firulkes” nie ma, jej zdaniem, równego sobie w całej literaturze europejskiej, a wspomniana, słabiułka komedia „Asystent” poruszała rzekomo „problemy ogólnoludzkie”. Była przekonana, że jej sztuki dorównują największym dramatom naszej literatury i że jej powieści zostaną na zawsze, podczas gdy na dziełach jej rywali „porosnie trawa”. Przyszłość nie potwierdziła jednak tych nadziei. Była też przekonana o swej niepospolitej urodzie. Ciagle o niej mówi, ciagle ją podkreśla. Z lubością cytuje wypowiedzi znajomych Francuzów: „La belle Madame Zapolska”. Trudno oczywiście dziś osądzić, jak z tą pięknością było w rzeczywistości. Liczne fotografie i portrety z różnych okresów jej życia bynajmniej tego wysokiego mniemania nie potwierdzają. Niewątpliwie ówczesne młode aktorki, jak Natalia Siennicka, lub Jadwiga Mrozońska przyciemniały ją uradą.

O swych sukcesach mówiła zresztą i później, gdy występowała w Krakowie i we Lwowie. Chwała się, że publiczność wita ją owacyjnie, kiedy wchodzi do loży w teatrze, że obsypuje ją kwiatami, że studenci tworzą szpalę u wyjścia,

by oddać jej hołd. Zapewnia, że jest jedyną podporą teatru, czy to krakowskiego, czy też lwowskiego, że publiczność wypełnia widownię tylko wtedy, gdy ona występuje. Dziwnym trafem jednak ówczesni wybitni dyrektorzy, jak Pawlikowski, Ktarsiński i Heller zrezygnowali z jej współpracy i obsesili się jakoś bez niej.

Czuając się pokrzywdzona ziemi nienawistką ku wszystkim, nie szczechąc często wulgarysmów, w które w ogóle obfitują jej listy. Poczciwy Bolesław Prus, który osmielił się raz ją skrytykować, należy do „psów i gadów”. Pawlikowski to „epileptyk, to morfista, to potwór”. Ówczesna wybitna aktorka, Bednarzewska — to „kucharka”, Stanisława Wysocka to „arogantka” i „prowincjonalny niedorostek” (I. c. II str. 58). Jej sądy były zresztą zawsze stronnicze. Nie dostrzegła nigdy czyichś zalet, tylko zawsze wady i błędy. Wszędzie widziła tylko brud, podłość, głupotę.

Mylnym też byłoby twierdzenie, jakoby jej listy były komentarzem do jej twórczości. Nic podobnego! O swych dziełach mówi bardzo mało, ograniczając się zwykle tylko do wymienienia tytułu utworu, nad którym aktualnie pracuje, oraz kwoty jaką będzie za niego żądać. Nie ma też w jej listach rozważań natury literackiej, nie próbuje nigdy analizować dzieł cudzych czy własnych,

Swoimi zachwyca się w czambuł, cudze w czambuł potępia. Nie są też jej listy ważnym przyczynkiem do dzieł ówczesnych teatrów polskich, zwłaszcza galicyjskich. Widziela je tylko w krzywym zwierciadle zakulisowych plotek, intryg, kłótni, skandali. Inne sprawy jej nie interesowały.

Na jej usprawiedliwienie można atoll powiedzieć, że los nie szczechcił jej bolesnych klęsk i zawodów, że pierwszy ważnym pierwszym kochanek postąpił z nią niegodnie, że jej śmiała, samodzielna droga życiowa budziła w ówczesnym, zafocanym i pruderyjnym, społeczeństwie, zgorznenie i obruzenie, podobnie jak jej naturalistyczne powieści, nowele i dramaty, że oblewano ją raz po raz kłębami pomysł. Wytracona z równowagi broniła się tedy, wedle jej własnej wypowiedzi, „żębami i pazurami”. Dodać wreszcie należy, że była osobą istotnie bardzo chorowitą, że nękały ją przez całe lata różne fizyczne cierpienia, że nie miała widocznie szczęścia do lekarzy, którzy nie potrafili przywrócić jej zdrowia. Są to niewątpliwie okoliczności łagodzące, które należy brać pod uwagę, zanim na podstawie jej listów wyda się na nią wyrok potępiający.

„LISTY GABRIELI ZAPOLSKIEJ”. (Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1971, 21. zebrała Stefania Linowska).

COŚ W TYM JEST

Niewiele reprezentacji krajowych w koszykówce mogłoby nawiązać walkę z drużynami niektórych uniwersytetów amerykańskich. Podobnie zresztą masowość gimnastyki, podnoszenia ciężarów w ZSRR, czy dźwido i gimnastyki w Japonii, tenisa, pływania w Australii stawia te państwa w gronie ścisłych faworytów, monopolizując prawie sukcesy. Myślę, że istnieje coś takiego, co nazywałby „zadrą sportową” tkwiącą w duszy narodu; co byłoby prawie wrodzoną predyspozycją jakiegoś narodu do sukcesów w określonym sporcie.

Warto byłoby pomyśleć o dyscyplinie polskiej. Czy w naszym przypadku nie mógłby nią być boks, podnoszenie ciężarów, kolarstwo lub szermierka?

Najpopularniejszy nasz sport, piłka nożna, niestety nie może przeskoczyć wielkiego rowu dzielącego ją od światowej czołówki. Raz jest za zimno, raz za mokro, raz za twardo. Nie da się ukryć, że piłkarstwo nasze drepcze w miejscu.

W słynnych meczach rewanżowych Manchesteru i Górniką o awansie zdecydowało coś, co nie było tylko umiejętnością gry w piłkę, ani narkotykiem lub pekiem banknotów funtowych za zwycięstwo, jak to niektórzy Polacy tłumaczyli. Zdecydowała wielka wiara w zwycięstwo, spryt, męska walka „z zębem”. Tu, aż dziw bierze, że robiła to angielska młodzież tak moralnie zgojona przez cywilizowany świat. Piłkarzy polskich stać było tylko na jeden taki mecz na „gorącym terenie” w Hamburgu. I znowu, jak tu nie wspomnieć o naszych cechach narodowych.

Ktoś powie, że przesadzam, że wyjątki są zbyt liczne np. tenis światowy opanowują gracze państw socjalistycznych. Nastase, Kodes, Franulovic kładąc kłama twierdzeniom, że przedstawiciele naszego obozu nie umiela grać w tenisa, nasz Bachleda walczył jak równy z równym z potęgami narciarstwa alpejskiego, rewelacyjny Szwed Benson pobił Azjatów w pingpongu.

Okazuje się bowiem, że przyjęcie pewnych uznaných koncepcji szkoleniowych i nadanie im własnych usprawnień pozwala doskoczyć, a nawet przeskoczyć, czołówkę światową. Klasycznym tego przykładem są wzory naszych zachodnich sąsiadów zza Odry. Niemiecka szkoła lekkoatletyki, np. kulomiotów, może się okazać dominującą w Monachium, nie mówiąc już o perspektywach rozwojowych całego sportu NRD, wynika-

jących zarówno z pozycji wskiego wyczynu, jak i szerokiego zaplecza, osiągnięć w szkoleniu młodzieży.

Warto także zastanowić się nad problemem psychologii walki kilku mistrzów sportu, kiedy ich umiejętności sportowe, sprawność organizmu, możliwości fizyczne i wola zwycięstwa są podobne. W ostatniej fazie walki decyduje przecież coś, co mistrzostwem nie jest. Istnieje ścisła czołówka danej dyscypliny sportowej a jeden tylko zawodnik czy drużyna zdobywa najcenniejszy kruczek. Niekiedy nazywają tę umiejętność walki koncentracją, inni rutyną. Oba te określenia są trafne, ale nie wyczerpują całości zagadnienia. Coś innego zdecydowało przecież o tym, że Bob Beamon w olimpijskim finale meksykańskich igrzysk skoczył aż 8,90 i wszyscy myśleli, że zepsuła się tablica świetlna. Przy tym osiągnął złudzenie prostoty, miękkości i łatwości takiego wyczynu. Sam wynik odebrał chęć do uprawiania sportu wielu specjalistom skoku w dal, a do mistrzostwa Europy w Helsinkach wystarczył wynik metr gorszy. Czy czasem Beamon w czasie tego skoku w jakiś cudowny sposób się właśnie nie zdekonzentrował? Przekreślił przecież tym mistrzowskim skokiem najśmielsze prognozy rozwojowe tej dyscypliny sportu.

Wydaje się, że tego typu obliczenia w sporcie niewiele dają dobrego. Podobnie zresztą jak stwierdzenie „jedziesz — musisz”. Najczęściej za bardzo się chce i wtedy klapa. Np. naszych siatkarzy stać na zwycięstwo z każdym przeciwnikiem, a przywożąc z poważnych imprez — rezultaty dużo gorsze od ich aktualnych umiejętności i możliwości. Dobrze jest gdy się bierze pod uwagę klasę rywali, ale jedynie pod względem obranej taktyki walki (np. w boksie czy ciężarach). Walczyć jednak należy bez respektu dla mistrzów. Niedawno, mało znany na krajowej arenie, łódzki pięściarz Respondek pokonał jednego z faworytów olimpijskiego turnieju, Meksykanczyka Floresa, po wspaniałej walce, zaskakując wszystkich obserwatorów i świetnie boksującego Meksykanczyka. Wydaje się, że przypomniał sobie zdanie dwukrotnego mistrza olimpijskiego, Jerzego Kuleja, który powiedział, że „w boksie nie ma silnych czy wytrzymałych — są źle trafieni”. Podobny sens miała wypowiedź fenomenalnego kolarstwa najlepszego sportowca świata 1971 r. Belga Merckxa: „Jestem silny, to prawda, lecz nie jestem fenomenem. Moje serce bije

normalnie, moje płuca nie są inne niż przeciwników”. Te wypowiedzi aż zachęcają do ataku na pozycję mistrzów. Istnieje szereg wypadków, kiedy o medalu decyduje ambicja, odwaga i zaciętość młodego zawodnika. Wydaje się, iż warto skończyć na naszym polskim gruncie ze sporami na temat szkodliwości wczesnej specjalizacji itp. Przykłady dostarcza nam „samo życie”. Królowa sportu roku 1971, 15-letnia Australijka Shane Gould, właścicielka wszystkich rekordów świata w craulu od 100 do 1500 m, ubolewa, że pływając w wieku 3 lat miała mniej talentu od dwóch jej młodszych siostr. Mimo przepływania 65 km w ciągu tygodnia jest zawsze uśmiechnięta i doskonale się uczy. Jej umiejętności tenisowe są wysoko oceniane przez samego Levisa Hoadę, byłego mistrza Wimbledonu. Czy nie może zachwyć błyskawiczny awans na światowy tron tenisa uroczej Australijki Goolagong w tak trudnej technicznie dyscyplinie?

Nasza polska rzeczywistość jest smutniejsza. Kiedy organizm jest najbardziej podatny na przyjmowanie wzorów ruchowych każe się uczniom poruszać rękoma na 2 godzinach WF tygodniowo, traktowanych po macoszu w większości szkół. Jest pewne, że sportem można się zarazić w szkole, a żeby uprawiać go wyczynowo nawet w przedszkolu. Nie wspominając o wyczerpieniu, społecznej konsekwencji tego stanu rzeczy są opłakane, nawet leczba uto-

nić brylujemy w świecie, nie mówiąc o katastrofalnej sprawności ruchowej i zdrowotności naszych studentów.

Nie da się ukryć, że tkwią jakieś hamulce w zarządzaniu polskim sportem, szkoleniu naszej kadry sportowej, w podejściu do sportu. Nie wykonyujemy wielkiej szansy propagandowej naszego sportu na arenie międzynarodowej, nie zauważamy co może dać sport w wychowaniu młodzieży, jak również nie doceniamy sportu, jako ratunku dla „panów z brzuszkami”, w walce z zawałem, złym samopoczuciem i rozstrojem psychicznym.

Uważam, że przegrywamy niestety w tej dziedzinie wysiłki z nowoczesnością i modernizacją życia społecznego. Wciąż te same osoby, kierujące polskim sportem, czas wreszcie odesłać do pisania wspomnień o wspaniałych dziejach np. „polskiego wunderteamu” z końca lat 50. Wydaje się, iż istnieje we współczesnym świecie olbrzymie zapotrzebowanie na sport. W epoce, w której zaczynamy tworzyć ciepłarniane warunki dla młodego pokolenia, wszelkie czynności ułatwiamy sobie przy pomocy techniki, pozornie wzrastają zdrowotność społeczeństwa. Wezwania lekarzy o więcej ruchu, o czynny wypoczynek, nawet spacerzy i „sportową turystykę” pozostają bez echa.

Nie da się ukryć, że złaśmy się na haczyk postępu cywilizacji w postaci wypoczynek przed telewizorkiem i groźnej stabilizacji.

W dniu 18 bm. Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi przyznało, w rocznicę wyzwolenia miasta nagrody artystyczne i naukowe. O laureatach i ich dorobku napiszemy w następnym numerze.

spektakle tygodnia

| SPEKTAKLE TYGODNIA za okres od 1 do 9.1.1972 r. | | | |
|--|------------------|------------------|-------|
| | liczba spekt. | liczba widzów | proc. |
| WIELKI | | | |
| „Zemsta nietoperza” | 1 | 1170 | 93 |
| „Książ Igor” | 1 | 1046 | 83 |
| „Straszny dwór” | 1 | 1253 | 99 |
| „Orfeusz w plekle” | 1 | 1203 | 96 |
| „Dziwczyną z Zachodu” | 1 | 1115 | 88 |
| „Królewna Śnieżka” | 1 | 1260 | 100 |
| NOWY | | | |
| „Opowieść lasku wiedeńskiego” | 3 | 2100 | 100 |
| „Żołnierz i bohater” | 2 | 1372 | 98 |
| „Idiota” | 2 | 1400 | 100 |
| NOWY MAŁA SALA | | | |
| „Rodeo” | 1 | 200 | 100 |
| „Urodziny” | 2 | 400 | 100 |
| POWSZECHNY | | | |
| „Perła” | 5 | 3000 | 91 |
| „Zatopione królestwo” | 3 | 1900 | 100 |
| JARACZA | | | |
| „Tajemniczy ogród” | 4 | 2169 | 98 |
| „W pustyni i w puszczy” | 2 | 1101 | 100 |
| MAŁA SCENA | | | |
| „Oskarżyciel publiczny” | 3 | 224 | 88 |
| 7.15 | | | |
| „Po górach, po chmurach” | 5 | 1141 | 54 |
| OPERETKA | | | |
| „Kaper królewski” | 4 | 3444 | 78 |

O FILMACH DOBRZE I ŹŁE

Ulubionym tematem malarstwa średniowiecznego był tzw. taniec śmierci. Opatrzona kosa i spowita całunem śmierć częściej zęby zza pleców opłoców biesiadujących przy stole, rozpustników, którzy wkradali się do cudzej łóżnicy, rycerzy nabyt chętnie sięgających po miecz i chelwołów, którzy wyciągali rękę po grosz wdowi. Czy nazwiemy te obrazy tańcem śmierci, czy tańcem życia, nie ulega wątpliwości, że były to wizerunki rzeczywistości średniowiecznej. Ukazywały treść duchową swoich czasów, ludzkie przeznaczenie ograniczone dwoma biegunami: życiem na tym świecie i karą na tamtym.

Przypomniałem popularnej średniowiecznej parabol malarzkiej zaczynam recenzję filmu, który również przedstawia taniec. Tylko tu — w ruchomym dziele techniki XX wieku — ludzie tańczą dosłownie. „CZYŻ NIE DOBIJA SIĘ KONI?” przenosi nas w epokę wielkiego kryzysu w Stanach Zjednoczonych. Gwoli rozrywki i gwoli zarobku organizowano wówczas maratony taneczne, które trwały dopóty, dopóki uczestnicy byli w stanie poruszać nogami. Chętni zgłaszali się z walcami, zawierającymi rzeczy osobiste, potrzebne nawet na tydzień, bo tyle i dłużej go-towi byli tańczyć. A kusła ich nawet nie nagroda, lecz to, że

organizatorzy zapewniali wyżywienie — do końca.

I właśnie ten film, zamknięty w jednej dekoracji, w którym tańczą bohaterowie i w którym jak oszalała tańczy kamera, podobnie do średniowiecznego malarstwa buduje parabolę ludzkiego życia. Ale treść i bieguny przeznaczenia współcześnie są inne, nie wykraczają poza sprawy ziemskie. Tu na ziemi, w pocie i w pyłe odbywa się taniec prowadzący do nikąd. Obolętne jest, co się tańczy i jak się tańczy i w ostatecznym rachunku, po co. Taniec coraz mniej jest tańcem, przemienia się w kręcenie w kółko, nierytmiczne, zmęczone, tragiczne i konieczne.

Część krytyki amerykańskiej zarzucała twórcy filmu powrót do epoki kryzysu gospodarczego. Epoki — jej zdaniem, bezpowrotnie minionej. Odpowie-

dział na to, że kryzysy bywały nie tylko ekonomiczne. Rzekniesz, że „Czyż nie dobiła się koni?” jest filmem boleśnie aktualnym, odzwierciedlającym kryzysy ideowy i uczuciowy, jakich przeżył młodzież na Zachodzie.

Ciekawe, że w Stanach Zjednoczonych i nie gdzie indziej, lecz w Hollywood, ongiś zwaną „fabryką snów”, powstał film, który ukazał w sposób tak przejmujący, głęboki i piękny tragizm pustki ukrytej za hasłem dorabiania się za wszelką cenę. Filmy kontestacyjne wyrażające, podobnie, niezadowolone ze społeczeństwa, w którym wypadło żyć, i licznie w ostatnich latach realizowane w Europie wywołują się, w porównaniu z „Czyż nie dobiła się koni?” — wydumane i sztuczne. Film amerykański zawarł w sobie prawdę ludzką, być może jest świadectwem

końca „fabryki snów” i budową nowego Hollywood.

Hollywood umożliwiło start reżyserski i pracę w kinematografie przyszłości z telewizją, Sydney'owi Pollackowi. Już po kilku próbach dostrzeżono w jego dziełach jednolity styl i autorskie piętno. Polscy widzowie znają dotychczas Sydney'ego Pollacka z „Wątlej nici” (1965 — debiut) i znakomitego westernu „Lowcy skalpów” (1968 — z Burtem Lancasterem). Z tymi znanymi u nas filmami najnowszym, „Czyż nie dobiła się koni?”, łączą się subtelnym rytem sulkim psychologicznym postaci. W „Czyż nie dobiła się koni?” bliższy aktorska gwiazda Jane Fonda i wschodzą gwiazda Michaela Sarrazina, bohater młodzięcego (jak sądzi, porcie parole autora), ukształconego może na wzór „dobrego dzikusa” J. J. Rousseau, a na pewno stanowiącego osobową

kontynuację postaci Murzyna Newella z „Wątlej nici”. Dynamika i rozmach, z jakimi realizowany jest film, dowodzą opanowania warsztatu reżyserskiego do granic wirtuozerii. Mamy do czynienia z pieczołowitą cyzelacją szczegółu, jaką spotykało się w niektórych dawnych szkołach malarzskich. I mamy do czynienia z nienowym tematem — bo któż za-przeć, że pytanie, po co się „tańczy”, jest pytaniem starym. Lecz wszystko to zostało rozświetlone świeżym spojrzeniem i świeżym podejściem, opartym na autentycznym przeżyciu, powiedziałabym, współczuciu artysty dla ludzi. W efekcie otrzymaliśmy dzieło nowoczesne w treści i formie i nie strachu okazji, aby je zobaczył (choćby film niektórym wydawał się trudny w odbiorze).

JOLANTA MACH

OBIEKTYW

Komorowska i Radomiński

Chyba nie ja jeden z ciekawością przekreśliłem wyłącznik telewizora przed godziną 18 w dniu, gdy zapowiedziano występ Maji Komorowskiej (Telewizja Poznań: Sylwetki X Muzy — Maja Komorowska, realizacja TV — Stanisław Olejniczak, 12. I. 1972 r.). Aktorka ta stała się niespodziewanie rewelacją ubiegłego roku.

Dwie kreacje i obłe znakomite. Pozornie diametralnie różne, ale gdy przyjrzyć się lepiej, jak pokrewnie! Zwrócić na to uwagę sama Komorowska w rozmowie telewizyjnej z red. Czesławem Radomińskim. Obłe postacie kreowane przez nią — zarówno bohaterka filmu telewizyjnego „Za ścianą”, jak i ta z filmu kinowego „Życie rodzinne”, są osobami przegrzonymi, boleśnie przeżywającymi swą kłeskę. O ile jednak reakcja pierwszej utrzymana jest w tonacji wyciszonej, kameralnej, to druga grana jest przez Komorowską w sposób gwałtowny, balansujący na granicy przerysowania i nadużyła ekspresji.

Tak więc zdawałoby się, że skala doświadczeń aktorskich zawarta między tymi dwoma biegunami jest bogata. Sama aktorka temu jednak przeczy. To tak, jak bym grała jedną i tę samą osobę, tylko różnymi środkami — mówi. Szczerze przyznaje się — nie w tym nie ma ze zgrzywania się na fałszywą skromność! — że pietrzą się przed nią trudności. Sukcesu nie można przecież powielić, nowe dokonania aktorskie nie przyjdą łatwo!

Słuchając bezpretensjonalnych, nacechowanych szczerością wypowiedzi Komorowskiej, pomyślałem sobie, że jest w niej wiele niepokoju twórczego i że to dobrze. Wyczulono się to, gdy mówiła o czekających ją rolach: w Becketcie w Teatrze Polskim we Wrocławiu i w filmowym „Weselu” w reżyserii Wajdy. Ten niepokój eńcie trzeba u aktora, u artysty w ogóle, bardziej niż pewność siebie i dobre samopoczucie.

Komorowskiej sukces nie przewrócił w głowie. Przeciwnie, zdaje ona sobie sprawę z odpowiedzialności wobec widzów, którzy ją docenili i których nie chce zawieść. Tymi kategoriami myśli zawsze artysta w rozwoju, znajdujący się na krzywej wstępującej. Samożadowienie oznacza zastój.

Z zadowoleniem słuchałem więc i oglądałem na małym ekranie Maję Komorowską. Gotów byłbym się podpisać pod wszystkimi pochwałami, jakich jej nie szczędził rozmówca. Właśnie! Radomiński. Od kilku lat kontynuuje swój cyklyczny program. Styka się przed kamerami z aktorami filmowymi bardzo różnego formatu. (Porównajmy dla przykładu Maję Komorowską z Ewą Wiśniewską). Otóż nie zawsze jestem z Radomińskiego zadowolony.

Przyjął sobie bowiem ten kulturowy recenzent filmowy za zasadę, że w ramach programu „Sylwetki X Muzy” tylko chwali. Kolejnych bohaterów swoich spotkań telewizyjnych komplementuje dwornie i z zapalem. Nie pozwala sobie nigdy, lub prawie nigdy, na akcent krytyczny. Może uważa inne postępowanie za nietaktowne? Ale aktorów przewinęło się już w ramach „Sylwetek X Muzy” dziesiątki. Czy wszyscy zasługiwali wyłącznie na superlatywy?

Chełoby się prosił red. Radomińskiego o nieco ostrzejsze przyprawę w jego telewizyjnej kuchni. Więcej agresywności, więcej kontrowersyjności w stosunku do rozmówców podniosłoby atrakcyjność i wartość poznawczą jego programów.

Ale bo też w ogóle w naszej telewizji panuje przekonanie, że wywiady przed kamerami muszą być grzeczne i pozytywne, przyjemne dla zaproszonych interlokutorów, zaprawione duserami. Czy zarzut zaedykowanego tu Radomińskiemu nie można by zaadresować do Ireny Dziedzic i jej „Tele-echa”?

A za granicą inaczej. Dziennikarze atakują rozmówców, zaskakują ich nie uzgodnionymi uprzednio pytaniami. Zdrowo musi się nierzaz taki pan natrudzić, by wyjść z programu obroną ręką, by się przed telewizzami nie skompromitować.

Zadam pani teraz ostre pytanie — sygnalizuje Radomiński cios w rozmowie z Komorowską. I co? I nowy komplement. Szkoda!

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI



Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrepcje

WIELKA WYSTAWA VAN GOGHA

W T'Orangerie des Tulles odbywa się wielka wystawa dzieł Van Gogha. Pokazano tu 210 obrazów wśród których znalazły się najpiękniejsze jakiego artysta namalował i około stu rysunków. Dzieła pochodzą z Fundacji Vincenta Van Gogha w Amsterdamie. Kolekcja, należąca do bratan-



Vincent Van Gogh - „Słoneczniki”

ka synnego malarza, o tym samym imieniu i nazwisku, inżyniera Vincenta Van Gogha zostanie wkrótce przekazana do specjalnie wzniesionego muzeum w Amsterdamie. Wybór obrazów Van Gogha prezentowanych obecnie w Paryżu jest najbogatszy jaki kiedykolwiek pokazywany był poza granicami Holandii. W uroczystości otwarcia

wystawy wziął udział bratanek artysty, inżynier Van Gogh. „To był mój stryj”. — mówi inżynier, którego nie tylko nazwisko jest identyczne z nazwiskiem słynnego artysty, ale który zachował w rysach twarzy wyraźne podobieństwo rodzinne. Inżynier nie pamięta jednak stryja. Był wtedy małym dzieckiem i liczył zaledwie rok, gdy

nia. Artysta za swego życia sprzedał jeden swój obraz (i to za nie wysoką cenę), choć niektórzy twierdzą, że sprzedał dwa. Tak więc w rękę wdowy po Théo pozostaje skarb — całość niemal dzieł jakie stworzył Vincent Van Gogh. Piótna zostają przez wdowę zabrane do Holandii. Sprzedała ona część obrazów i dobrze, że sprzedała, bo jak twierdzi inżynier Van Gogh, gdyby tego nie uczyniła, do dziś genialny malarz pozostawałby zupełnie nieznanym. Warto przy okazji dodać, że twórca miał w swym życiu zaledwie kilka lat pracy artystycznej. Jedni określają je na pięć, inni skłonni są twierdzić, że dziesięć. Ow malarz przybył do Paryża z Holandii, gdzie malował zgodnie z tradycją swego kraju ciemne piótna, we Francji stosuje nagle mocne, intensywne kolory, lecz równocześnie pozostaje wierny dawnym, holenderskim tematom. Maluje z upodobaniem wybrzeża i łodzie, pola i łąki, kwiaty, stare miłyny, jakby w braku malowniczych holenderskich wiatraków.

Wdowa po raz ostatni dokonała sprzedaży obrazów w 1926 r. Odtąd już nikt nie może kupić od niej żadnego piótna Vincenta Van Gogha. W jej rękę pozostało dwie trzecie dzieł stworzonych przez artystę. Jest to i tak kolekcja ogromna, liczy bowiem ponad 200 pióteń i 400 rysunków. W swym ostatnim przed samobójstwem liście do brata Vincent Van Gogh pisał m. in. „No, tak. Istotnie nie możemy przemawiać inaczej niż poprzez nasze obrazy”. Wdowa po Théo uczyniła wszystko by obrazy jej szwagra przemawiały do największej ilości ludzi. Urządziła pierwsze wystawy. Po jej śmierci, inżynier Van Gogh w 1915 r. wybrał się z dziełami swego stryja do Ameryki. „Byłem pierwszym, kto odważył się przelecieć nad Atlantyką z dziełami sztuki”. Obrazy Van Gogha wystawiane w Nowym Jorku i Filadelfii wywołały ogromne zainteresowanie wśród amerykańskich miłośników sztuki. Nie warta jest obecnie ta



Vincent Van Gogh - „Barki na brzegu”

ka kolekcja? Inżynier Van Gogh odpowiada: „Jeśli się nie ma zamiaru czegoś sprzedawać, nie ma też i ceny. A ile kosztuje Venus z Milo?”

JESZCZE O ALBERTYNE SARRAZIN

Kilkakrotnie na tym miejscu pisaliśmy o bliskotliwej, lecz jakże krótkiej karierze literackiej Albertyny Sarrazin, której przedwczesna śmierć położyła kres dalszemu rozwojowi jej talentu. Zmarła w wieku lat 29, na stole operacyjnym przez niedopatrznie lekarzy, których winę udowodnił proces sądowy. Czytelnik polski miał możliwość zapoznania się z twórczością Sarrazin dzięki wydanej w PIW w 1967 roku powieści pt. „Skok” (tytuł oryginalny: l'Astragale). Ponadto pisarka wydała jeszcze dwie powieści, tak jak i pierwszą, oparte na materiale autobiograficznym.

Przypomnijmy pokrótce, że Albertyna Sarrazin, dziecko nieznanego rodziców, spędziła osiem lat w więzieniu za kradzieże,

przeżyła wielką i romantyczną miłość do Juliana, byłego włamywacza o gołębiem sercu, wyszła za niego za mąż, a kiedy państwo Sarrazin ułożyli sobie spokojne i pełne wzajemnego szczęścia życie, brutalna śmierć zabrała Albertynę.

Dziś Julian czyni wszystko, by uczcić pamięć swej zmarłej ukochanej żony.

Ostatnio w Paryżu ukazała się książka monograficzna o Albertynie Sarrazin (Editions Sarrazin) piana Josane Duranteau. Autorka m. in. w bardzo ostrej formie polemizuje z tymi krytykami, którzy uważają, że to więzienie zrobiło z Albertyny pisarkę i gdyby nie lata tam spędzone, Sarrazin nie napisałaby swych książek. Otóż Duranteau stwierdza z całą stanowczością, że to nieprawda. Autorka monografii dojrzała do pamiętnika Albertyny, który przyszła pisarka prowadziła mając lat dwa i pięć. Duranteau twierdzi na podstawie tego pamiętnika, że Albertyna już wie-

dy zapowiadała się jako znakomita i utalentowana pisarka. Zachował się także list czterastoletniej Albertyny do jej matki. List niezwykle, bowiem dziewczynka zdawała sobie sprawę z tego, że nigdy nie dojdzie on do adresatki. List jest wyrazem tęsknoty osierocozonego dziecka, a matka w wyobraźni dziewczynki urasta do nadzwyczajnej, fantastycznej postaci obdarzonej niezwykle dodatkami, niemal nadludzkimi cechami. I ten list, jak twierdzi Duranteau, świadczy o pisarskiej wyobraźni młodziutkiej wówczas Albertyny.

Równocześnie nie miały z książką Duranteau ukazywać się listy Albertyny do Juliana, jej przyszłego męża. Listy ukazały się w książce pt. „Albertine Sarrazin. Lettres à Julien. 1938-1960 (wyd. Jean-Jacques Pauvert). Jak stwierdza krytyka są to jedne z najpiękniejszych listów miłosnych jakie zna literatura francuska, obfitująca przecież w miłosną epistołografię.



MAURICE CHEVALIER

Jeżeli przed świętami prasa francuska podawała niemal codziennie komunikaty o stanie zdrowia Maurice Chevaliera, znajdującego się w szpitalu. Dożył Nowego Roku, zmarł wieczorem w pierwszy dzień 1972 r. w wieku lat 83. Urodził się w 1888 r. jako syn robotnika. Debiutował mając lat dwanaście. Wy-

stępował na estradzie przez blisko lat siedemdziesiąt. Było to siedemdziesiąt lat ogromnie ciężkiej, żmudnej pracy. Nikt z widzów nie przypuszczał nawet, że ów wesoly pan w stłomianym kapeluszu z uroczym uśmiechem na twarzy, miesiącami nieraz przygotowywał każdą ze swych piosenek. Maurice Vandalr, który pisał wiele tekstów do piosenek Chevaliera, mówi o nim:

„To był człowiek niezwykle pracowity. Wstawał zawsze o ósmej rano, niezależnie od tego, o której godzinie położył się spać. Od godziny dziesiątej miał repetycje 365 dni w roku. Żeby wybrać sześć nowych piosenek wypróbował ich dziesiątki. Zanim zaśpiewał piosenkę „Il pleurait” (On płakał) pracował nad nią osiemnaście miesięcy”.



KLOSS Z ODRZUTU EKSPORTOWEGO

**BALLADA O BOHATERZE ■ TOP SECRET, CZYLI
SCISLE TAJNE ■ KLOSS MOWI PO SZWEDZKU
■ SURREALISTYCZNY ZESZYT ■ ZGODNIE Z OBY-
CZAJEM ■ KTO SIĘ WYGLUPIŁ?**

Kapitan Kloss — wiadomo! Współczesny Konrad Wallenrod, bardzo podobny do aktora Stanisława Mikulskiego. Serial „Stawka większa niż życie” krąży dziś po ekranach telewizyjnych Europy, a w Polsce, aby duch w narodzie nie zaginął, wydaje się zeszytowo komiksy. Choć należało do dobre- go tonu wybrzydzać na serial — byłem zawsze jego zwolennikiem. Nic to, że kapitan Kloss łączył się z Berliną z centralą, znajdującą się jeszcze na wschodnich terenach Polski za pomocą podręcznej

radiostacji o zasięgu kilkudziesięciu kilometrów. Nic to, że w latach czterdziestych jeździł na „Jumanaku”, wyprodukowanym w latach sześćdziesiątych... Dramaturgia serialu była bez zarzutu, wszelkie nieprawdopodobne detale wychwytywane przez prasę, niewiedzę wcale jej nie szkodziły. Doceniając wartość owej ballady o samotnym bohaterze, walczącym z faszyzmem, Wartości istotne zwłaszcza dla młodego pokolenia. Dlatego też kupuję mojemu synowi komiksowe zeszyty „Kapitan

Kloss”, który je czyta — i dobrze, że czyta. Tak więc któregoś dnia zobaczyłem w kiosku „Ruch” nowy zeszyt nr 5, cena 3 zł, pt. „Scisłe tajne”. Rzecz jest istotnie ściśle tajna. Po otwarciu okładki zobaczyłem, że Kloss mówi: „Hur langt ar det kvar, Edward?” Zrozumiałem z tego, że pyta o coś jakiegoś Edwarda. Na co tamten odpowiedział mu w niewymuszony sposób: „Om alla minuter flyger reis a fuy ringsramper i luf, ten...” Minuter — pewnie minuta, flyger — pewnie samolot, luf ten — pewnie powietrze... Ale nie miałem pewności. Nie miałem bowiem pod ręką słownika szwedzko-polskiego, więc lekturę musiałem przerwać. Obejrzałem książeczkę raz jeszcze. Okładka była polska — zawartość — szwedzka. Drukowane w Łódzkiej Zakładach Graficznych w nakładzie 100 tysięcy egzemplarzy. Nie wiele z tego zrozumiałem, z istotnie sprawą była dla mnie ściśle tajna. Dreptała mnie jednak dotąd, aż ktoś mnie oświe-

cił. Otóż w Polsce drukuje się komiksy „Kapitan Kloss” na zamówienie szwedzkiego wydawcy, bowiem aktualnie serial idzie w Skandynawii — i ciesz się ogromnym powodzeniem. Ciesz się mnie to, tyko diaczego szwedzką zawartość ukryto pod polską okładką? „Top secret” — jak pisze na pierwszej stronie. Ale dla mnie nie jest to żaden sekret, tylko odrzut eksportowy. Jeśli możemy jeść szynkę eksportową, dlatego, że jest w niej za dużo galaretki, jeśli możemy nosić koszule eksportowe, bo mają złe wszystkie rękawy — to diaczego nie mamy czytać Klossa po szwedzku? Wszystko jest zgodne z naszym obyczajem.

Widywałem zeszyty tej serii po szwedzku na straganach Bałuckiego Rynku. Były to zapewne egzemplarze „zorganizowane” (żeby nie powie-dzieć — ukradzione) z łódzkiej drukarni. Ale tam stawka była uczciwa. Okładka też była szwedzka i człowiek wiedział, że kupuje obrazki — do par-trzenia, a nie lekturę. Ktoś jednak wpadł na pomysł zrobienia interesu ze szwedzkich kłis, czy szwedzkich remanentów. I zrobił balona z nabywców. Zszywając obcojęzyczną wersję z polską okładką i kierując ten osobliwy druk do kiosków „Ruch” ktoś naruszył dobre handlowe obyczaje i — co tu kryć — setnie się wyglu-pił. Ale to nie tylko sprawa wyglupu, lecz i sprawa obyczajów. Tubyte, czyli krajowiec bezdewi- zowy, brano jest na fundusz jak Buszmen na szklane paciorki. Wydaw- cy („Sport i Turystyka”) wiedza, że młodzież po- szukuje zeszytów z Kloss- em, że je kolekcjonuje. Wydawcy mają jednak gdzieś bezdewizowego trzynastoletka. Ciekawe, że w długim lańcuchu produkcji i dy- strybcji zeszytu z polską okładką i szwedzkim tek- stem nikt nie dostrzegł surrealizmu sprzedawania takiej literatury w pań- stwowych kioskach „Ru- chu”.

JERZY WIDOK

Bez strachu

STO CZTERDZIEŚCI ZŁOTYCH

A jednak go się lękam: On zapewne stoi w bramie z butelką wyborowego wina, z paczką przednich cygar... Było to tak: Podszedł do mnie przed laty i powiedział: niech pan mi pożyczyci sto czterdzieści złotych do jutra. Następnego dnia telefonowa- wał, nieestety, nie może oddać, przepraszam... Po tygodniu wszedł do kawiarni, w której spokojnie piłem sobie kawę, zobaczył mnie, zatrzymał się w progu, zbliżył i uciekł. Znowu minął tydzień. Patrze — idzie z dziewczyną — kłaniam się grzecznie, a on zakrywa oczy dłońmi i jęczy: sto czterdzieści złotych... sto czterdzieści złotych... Innego dnia bierze mnie do przyjacielskiego pod ramię i mówi: nie może oddać, ale że niebawem... Zaprasza mnie do luksusowego lokalu, karmi kawionem, poi trunkami najwyższej próby... Wydaje tej nocy kilka tysięcy złotych i bлага, ustawicznie bлага, że jeszcze nie oddał mi długu... Mówię, że to mało ważne, że mam pieniądze, że już nawet nie pamiętam... Patrzy na mnie oczyma pełnymi bólu i mówi, że jest podły, że nie dotrzymał słowa, że gardzi sam sobą. Wtedy właśnie zaczyna- nam go się obawiać. Zmieniam trasy swoich spacerów, bardzo ostrożnie otwieram drzwi mieszka- nia po wielokrotnych: kto tam, kto tam. Ale przed nim nie ma ucieczki... Ścię- ga mnie po podmiejskich uliczkach, po lasach, po potach. Płacze, prosi o wybaczenie, wręcza kosztowne upominki i mówi, że zwróci, zwróci z pewnością... Pewnego razu po- jechałem do Warszawy i usiadłem wśród wysoko postawionych ludzi, którzy wiele spraw trzymają w swoich rękach. Patrze — jest, przyszedł w chwili, kiedy zdecydowano o naj- ważniejszych problemach, roztrzącał wysoko postawio- nych ludzi i złapał mnie krzyżem: proszę mnie nie uważać za przywieszczy- ciela! Ja panu już z pewnością zwrócę te sto czterdzieści złotych! Wysoko postawieni ludzie powstali z krzesel, spoglądali na mnie z zażenowaniem, ze współczuciem, z degustacją. Najważniejsze proble- my upadły, pożegnali się zimno i odeszli. Ucałił mnie z niebywałą energią, posadził w samochodzie. Pojechał na wino z korzeniami, potem był wystawny obiad. Roman- tyczny wieczór w pięk- nym mieszkaniu z obecnością urodziwych i czu- lych kobiet. Piliśmy razem wino i śpiewaliśmy pieśni. Nagle przerwał nam pro- stackim wrzaskiem: ja temu człowiekowi nie mogę patrzeć w oczy, winien mi jestem sto czterdzieści zło- tych od kilku lat, dziwię się, że on to jeszcze znosi, dziwię się, że on podaje mi rękę! Miałam się tak przed nami, opadając z własnej woli do jakiegoś dna wstydu — nie ustawał. Zniknęły romantyczne nastroje, każdy z nas pose- dzał w swojej stronę, unosząc cząstkę jego ogrom- nego wstydu, który był mu potrzebny do życia, jak powietrze. Teraz sie- dzę w mieszkaniu i piśze, wiem jednak, że on jeszcze ze mnie nie zrezygnował, że przyczał się gdzieś i czuwa. Wiem, że każda próba pomocy będzie dla niego nowym, pożądanym zreszta, ciosem. Co z tym człowiekiem zrob-ić?

BERNARD SZTAJNERT

Portret nagiej cyganki

Mężczyzna upierał się, że w lokalu klubu pracuje Nancy Trenk. Tu się popisywała, a teraz nikt jej nie zna. Dlatego upił się i pobit barmana.

— Jak się nazywasz — zapytałem.

— Will Rogers, jestem malarzem. Objechałem wszystkie Stany szukając Nancy. Lecz wiem już, że przebywa w tym mieście.

— Masz jej fotografię?

— Nie, panie inspektorze, ale mam fotokopię jej portretu.

To mówiąc podał mi kolorową pocztówkę, mocno zniszczoną, widocznie przechodziła już przez wiele rąk. Była to reprodukcja olejnego obrazu, który przedstawiał piękną, nagą dziewczynę odkrytą piaszczą miedzianych włosów.

— Czy ty ją malowałeś?

— Nie. To jest obraz Oswalda Morgie. Ja mu znalazłem modelkę.

— Czy ten Morgie jest jakimś znanym malarzem?

Spojrzał na mnie z politowaniem. — To jest największy artysta w całych Stanach Zjednoczonych na przestrzeni ostatnich czterdziestu lat. Zmarł przed miesiącem.

— Rozumiem. Ale dlaczego szukasz modelki, która pozowała do tego obrazu?

— To jest moja prywatna sprawa.

— Za te awantury w Różowym Klubie możesz być poclgnięty do odpowiedzialności. Radzę ci, abyś wrócił do hotelu i wyspał się. Przyjdź do mnie jutro o 10 rano. Zostaw mi fotokopie, zaśięgnę informację o twojej modelce.

Zdziwił się. — Widzę pierwszego policjanta, który jest dla mnie uprzejmy...

Wieczorem wstąpiłem do Różowego Klubu jako osoba prywatna. Maria Lambert, właścicielka lokalu, przyjęła mnie z szerokim uśmiechem. Patrząc na siebie, przyszedł nasz inspektor! Wszystko dla pana bezpłatnie, funduje firma!

Usiadłem z nią przy stoliku w kącie sali. — Mario — rzekłem — ten młody malarz, który był u was dziś rano, szuka od miesiąca swojej dziewczyny. Nie odepłynie stąd, dopóki nie otrzyma jej dokładnego adresu.

— Oto szalona miłość artysty! — westchnęła Maria. — Mnie nikt tak nie kochał.

Przyjrzała się fotografii, którą jej podałem. — Znam tę dziewczynę, pracowała w moim lokalu trzy tygodnie temu. Potem odeszła nie zostawiając adresu. Tu się nazywała Susa Susin. Nic więcej o niej nie wiem. To, co powiedziałam jest prawdą, mogę przysiąc na Biblię.

— Wierzę pani...

Następnego dnia o godzinie 10 oczekiwałem wizyty Rogera. Niewiele mogłem mu powiedzieć, właściwie tylko tyle, że jego dziewczyna używała nazwiska Susa Susin. Żądałam od niego, żeby się stąd jak najprędzej wyniósł, nim wykombinuje jakieś nowe awantury, po których będę musiał go zamknąć.

Rogers spóźnił się, była już godzina 11. Zatelefonowałem do Hotelu Astoria, w którym zatrzymał się. Odpowiedziano mi, że nie wyszedł jeszcze z pokoju i nie podnosi słuchawki telefonicznej.

— A więc obudzicie go — rzekłem — i powiedzcie, żeby do mnie zaraz przyszedł, bo o 12 wychodzę.

Dziesięć minut później zadzwonił telefon. Mówił dyrektor hotelu. Podnieconym głosem oznajmił: Zamordowali go! Panie inspektorze, proszę tu przyjść natychmiast!

Wkrótce byłem na miejscu. W wielkim łóżu leżał malarz Will Rogers ze sztyltem wbitym w serce. Prawdopodobnie zamordowano go w czasie snu...

Spotkałem się znów z Marią Lambert. — Obecnie mamy do czynienia z zabójstwem — rzekłem — i wasza Susa jest w to wplątana. Teraz ja zacznie jej szukać i na was też pada cień podejrzenia. Dlatego proszę mi powiedzieć wszystko, co wczoraj było zatajone, nie chcę tracić czasu.

— Inspektorze, powiedziałam wszystko, co wiem o tej kobiecie. Pracowała tu dwa tygodnie, potem odeszła, nie wiadomo dokąd. Zauważyłam tylko, że miała bilet na autobus Błękitnej Linii.

— Do jakiej stacji?

— Skąd mogę wiedzieć? Poznałam tylko bilet po kolorze. Udałem się do zarządu Towarzystwa Transportowego Błękitnej Linii. Wyjaśniłem dyrektorowi cel wizyty.

— Może ktoś z pracowników przypomniał sobie tę osobę — rzekłem. — Piękna kobieta zawsze wpada w oczy.

— Zrobię, co będzie możliwe, panie inspektorze.

Podobna Nancy Trenk przeszła przez ręce kilku zsoferów i wreszcie jeden z nich poznał pasażerkę.

— Przypominam ją sobie! — krzyknął zadowolony. — Takiej kobiety nie zapomina się długo. Tym bardziej, że oglądałem jej strip-tease w Różowym Klubie. Tak, jechała moim autobusem, wysiadła w Kansas City.

Opadły mi ręce, miałem szukać igły w stogu siana! W Kansas City tysiące dziewcząt znika codziennie.

Spisałem raport, załączyłem kopie posiadanej fotografii i wysłałem do Centrali w Kansas City. Wkrótce nadeszła odpowiedź, że nie znaleźli żadnej Nancy Trenk, czy Susy Susin.

Mimo wszystko kontynuowałem poszukiwania, lecz bez powodzenia. Nikt nie widział zbrodniarza wchodzącego do pokoju Willa. Zresztą — nie było trudno tam się dostać, mógł to zrobić ktokolwiek.

Akta sprawy leżały na moim biurku przez dwa miesiące. Już chciałem odesłać je do archiwum gdy pewnego rana zobaczyłem w gazecie coś, co mi zatkało oddech. Była to fotografia olejnego obrazu, tak dobrze mi znanego. Napis pod zdjęciem brzmiał: „Ten obraz oceniano się na pół miliona dolarów. Wystawiono go na sprzedaż w Galerii Stone, w Nowym Jorku. Jest to dzieło malarza Oswalda Morgie. Zdaje się, że pewien bogaty kolekcjoner nabył je za ogromną sumę. Przepiękne i sugestywne malowidło zostało wykonane w okresie „Białym” kariery Oswalda Morgie, około 1930 roku. Taką właśnie nosi datę. Wiedziiano o jego istnieniu, lecz nikt go nie oglądał, gdyż słynny artysta ukrywał to płótno zazdrośnie, twierząc, że pozostał przy nim aż do śmierci. Obecny spadkobierca malarza, jego siostrzeniec Claude Morgie, postanowił sprzedać ów obraz znany także pod tytułem „Naga cyganka”.

— Do diabła! — krzyknąłem. — W moim mózgu zakiebiło się tysiąc myśli...

Wyjaśniłem zwierzchnikom niektóre z moich „ekstrawaganckich” poglądów.

— Jeżeli zamordowany malarz, czyli Will Rogers, stwierdził, że znał modelkę i dostarczył ją Oswaldowi Morgie, to jasne, że obraz nie został wykonany w 1930 roku, jak twierdzą eksperci, lecz kilka lat temu. Albowiem modelka Nancy Trenk ma obecnie 27 lat i w 1930 roku nie żyła jeszcze. Ciekawe, dia-

czego Rogers szukał jej z takim zapamiętaniem?

Zwierzchnicy pozwolili mi prowadzić dalej poszukiwania. Najpierw pojechałem do Kansas City. W Centrali dowiedziałem się, że sprawa „Nancy Trenk” była jeszcze w toku. Wziąłem adresy niektórych

fa — osłupiałem. Na krześle siedziała Nancy Trenk!

— To on! — krzyknęła zobaczywszy mnie. — To on mnie szuka, aby mnie zabił! Groził moim przyjaciółkom, sterroryzował wszystkich moich znajomych! Mówię wam, że to właśnie on!

Widziałem, że siostrzeniec Morgie, Claude, przeżył ten dzień. Gdy Morgie zmarł, Will dowiedział się, że mistrz w testamentie zapisał słynny obraz swemu siostrzeńcowi Claude. Był to cios dla Willa. „Naga cyganka” była przecież jego dziełem. Zaczął mnie szukać. Chciał, żeby pojechała z nim do Nowego Jorku i zdemaskowała oszustwa mistrza. Gdyby prawda wyszła na jaw jego obrazy gwałtownie spadłyby w cenę.

Claude coś podejrzewał, zaczął szukać mnie i Willa. W tym czasie dowiedziałem się, że zamordowano Rogera. Przeraziłam się. Nie trudno było zrozumieć, że Claude Morgie chce usunąć świadków tajemnicy „Nagiej cyganki”. Znalazł Willa i zamordował go, następną ofiarą będzie ja.

Wiedząc, że ktoś mnie szuka, ukrywałam się, aż zmęczona poprosiłam o opiekę policje. Nie wiedziałam, że to pan mnie szukał, panie inspektorze...



kobiet badanych przez policję. Siedziałem jedną po drugiej. Pokazywałem im fotokopie obrazu pytając: — Czy znacie tę dziewczynę? Nazywa się Nancy Trenk, a może inaczej...

W ciągu tygodnia narobiłem strachu wielu kelnerkom, tancerkom, modelkom. Bez rezultatów.

Pewnego dnia otrzymałem telefon komendanta Centrali. — Proszę do nas przyjechać. Jest tu kobieta, która twierdzi, że nazywa się Nancy Trenk. Prosi o opiekę, bo się, że ktoś czyni na jej życie.

Pobiegłem do Centrali. Gdy wsiadłem do samochodu, aże-

— Proszę się uspokoić — rzekł oficer policji — to inspektor James Burton.

Zbliżyłem się do Nancy. — Szukam cie, to prawda... Od wielu tygodni... Od tej chwili gdy zabił Willa Rogera w Hotelu Astoria...

— Will! To mój przyjaciel! Ja go nie zabiłam!

Zobaczyłem w jej twarzy zdumienie i szoki. Zaczęła płakać, nie udawała. Gdy się uspokoiła, usłyszałam jej opowiadanie:

— „Wielki” malarz Oswald Morgie — rzekła — był od lat oczekiwaniem skończonym. Zapil się, ręce mu drżały, nie po-

trafił już utrzymać pędzla. Lecz jego obrazy miały wysoką cenę. Obmyślił więc diabelskie oszustwo: wyksztalił swego ucznia, Willa Rogera, aby podrabiał jego sposób malowania. Na sfalshowanych płótnach Morgie umieszczał swój podpis i rok. W ten sposób powstało przeszło trzydzieści olejnych obrazów. Willowi przyrzekł: „Po mojej śmierci najdroższy obraz „Naga cyganka” stanie się twoją własnością i możesz go sprzedać. Wiesz, iż seeki kolekcjonerów marzy o jego nabytku”.

Gdy Morgie zmarł, Will dowiedział się, że mistrz w testamentie zapisał słynny obraz swemu siostrzeńcowi Claude. Był to cios dla Willa. „Naga cyganka” była przecież jego dziełem. Zaczął mnie szukać. Chciał, żeby pojechała z nim do Nowego Jorku i zdemaskowała oszustwa mistrza. Gdyby prawda wyszła na jaw jego obrazy gwałtownie spadłyby w cenę.

Claude coś podejrzewał, zaczął szukać mnie i Willa. W tym czasie dowiedziałem się, że zamordowano Rogera. Przeraziłam się. Nie trudno było zrozumieć, że Claude Morgie chce usunąć świadków tajemnicy „Nagiej cyganki”. Znalazł Willa i zamordował go, następną ofiarą będzie ja.

Wiedząc, że ktoś mnie szuka, ukrywałam się, aż zmęczona poprosiłam o opiekę policje. Nie wiedziałam, że to pan mnie szukał, panie inspektorze...

* + *

Dwa dni później Nancy dostarczyła nam swe fotografie wykonane w czasie pozowania do „Nagiej cyganki”. W tej sprawie nie było już wątpliwości.

W Nowym Jorku, dokąd natychmiast udaliśmy się, znaleźli się w pracowni malarzkiej Willa Rogera trzy obrazy w stylu Oswalda Morgie, lecz bez jego podpisu. Nie zdążył... Siostrzeniec Claude policja aresztowała w momencie, gdy próbował przekroczyć granicę meksykańską.

Przyznał się, iż zaszyłował Rogera w Hotelu Astoria. Zrobiliby to samo z Nancy Trenk, gdyby ją znalazł. Nie chciał stracić milionów dolarów z powodu dwóch świadków fałszerstwa płóci.

Gdy wracałem do swej sędzidy, Nancy prosiła, żebym ją z sobą zabrał. — Chciałabym — rzekła — żeby pan mi pomógł znaleźć jakąś spokojną, uczciwą pracę. Nie chcę wracać do dawnego trybu życia.

Dzielną dziewczyną, ta Nancy Trenk. mimo wszystko...

A. S.



Lewym okiem

PPTT NA PKP

Wiadomo, że nastrój ludyczny, czyli ubawowy, rozluźnia u człowieka czujność uwagi, osłabia samo-kontrolę, sprzyja popełnieniu błędów. Błędy bywają rozkoszne, urocze i pamiętlwe, bywają też błędy rachunkowe. Te ostatnie są — to oczywiste — specjalnością niektórych kelnerów, pracujących właśnie w owej atmosferze ludycznej, acz sami udziału w ubawie brać raczej nie powinni.

Wszystko się tłumaczy naukowo. Całą osobną rozprawę doktor Freud poświęcił teorii pomyłek. Wynika z niej, że człowiek popełnia błędy w ogromnej większości korzystne dla siebie. Nie ma powodu, żeby kelnerzy mylili się inaczej. Mylą się freudyzycznie, na swoją korzyść.

Po zakończeniu dnia pracy, czy raczej nocy pracy, taki nieszczęśliwy, uczciwy, zgoniony kelner zlicza swój utarg i z przeżeniem stwierdza nadwyżkę tysiąca złotych. Wiadomo, co się wtedy dzieje. Dyllikwent z samego rana biegnie do PKO i wpłaca ty-sięć złotych bezimiennie na Czerwony Krzyż. Natomiast nie mam pojęcia, co się dzieje z nadwyżkami, stwierdzonymi na przykład w Urzędzie Telefonów

Miejscowych. Mówię „na przykład”, bo wspomniany Urząd nie jest chyba jedynym wyjątkiem wśród tysięcy instytucji liczących, rozliczających, inkasujących. Otóż co się dzieje w takich, dla przykładu, wypadkach?

Otrzymuję przez pocztę rachunek za użytkowanie telefonu. Jest w nim między innymi rubryka „Roz-mowy licznikowe” — 60 złotych. Płacę. W następnym miesiącu znajduję w tejże rubryce sto złotych. Nie placę. Zwalniam się w godzinach pracy z biura, personalny się krzywi, szef wzdycha, idę do Urzędu, proszę o sprawdzenie. Sprawdzają. Powinno być siedemdziesiąt złotych i tyle wpłacam.

Dla uzyskania tego wyjaśnienia stoję w kolejce wielu osób, czekających na identyczne wyjaśnienia. Pani przede mną tłumaczy, że policzono jej za rozmowy licznikowe za lipiec pół setki, a przez cały lipiec jej dom stał pusty. Czyżby duchy korzystały z telefonu? Nie, nie było duchów. Rachunek był lipny.

Przed panią stoi rencista, któremu rozmowy licznikowe wzrastają co miesiąc o kilkanaście złotych. Czyżby licznik się spieszył i robił dwie rozmowy w czasie jednej rozmowy? Nie, to fałszywy rachunek. W sumie ten rencista, ta pani i ja mieliśmy zwykłe rachunki o prawie sto złotych. Byłem tam pierwszy raz od dwunastu lat. Teraz będę chodził co miesiąc, dopóki nie odzyskam zaufania do Urzędu Telefonów, albo dopóki nie stracę zaufania i cierpliwości do mnie ze strony własnego personalnego.

Rachunki za telefon mają multum kopii, są księgowane w różnych foliach, paginach i kontaktach, trudno przypuścić, że nadpłaty mają jakieś źródła nie-

czyste, powiedzmy bez ogródek: malwersacyjne. Ale wreszcie przecież ktoś zlicza te utargi, porównuje z licznikami, stwierdza nadwyżki. Co się dzieje z takimi nadwyżkami? Nie styśleam o wypadku zwrotu pieniędzy abonentom, tak jak nie styśleam o zwrotach omyłkowych nadwyżek przez kelnerów. Co się zatem dzieje? Czy moglibyśmy uprzejmie prosić o wyjaśnienia?

Jeśli zdarzy się, że przez tydzień nie ma nikogo w domu, a właśnie w tym tygodniu mają termin zapłacenia rachunku za telefon — aparat ulegnie natychmiast wyłączeniu, a jego reaktywowanie kosztuje trochę zachodu, czasu i pieniędzy. Niech będzie. Za zaleganie z czynszem nikogo wyrzucić z domu nie można, ale telefon można zakrepić jednym palcem i uczyć ludzi moresu. Trudno, niech będzie. Ale bywa i tak, że wyłączają mi telefon na cale dni i tygodnie z powodu przebudowy, remontu, dmuchania w kabel i sprawdzania stacji. Takie przerwy się nie liczą, placę za dany miesiąc najnormalniejszy abonament a obyczaje (mores) nie czują się obrazone. Zupelnie tak jak na PKP, gdzie muszę zapłacić drożej za wejście do pociągu pośpiesznego, ale ten pociąg nie musi mnie pośpiesznie i terminowo dowieźć na miejsce. Miłość bez wzajemności.

Kto wie, czy nie oplaci mi się wynajęcie studenta ze spółdzielni „Puchatek”, żeby z każdym nadesłanym mi rachunkiem — za telefon, gaz, światło, czynsz, wodę, powietrze, ciepło, za składki i nie wiem już za co — chodził po wszystkich biurach, urządach, kasach, sprawdzał i reklamował. Kto wie, czy to by się nie oplaciło? Jeszcze by i Czerwony Krzyż coś dostał. Bezimiennie.

CWIĘK